Nr. 2. 14—I—1933

ŚWIAT



Pięć artystek, które odtwarzają główne role w nowej komedji Stefana Krzywoszewskiego p. t. „Uśmiech Hrabiny"

(Pp. Zofja Nakoneczna, Marja Dulęba, Marja Gorczyńska, Karolina Lubieńska i Loda Halama)

Fot. J. Malarski

NOWI PANOWIE...



— Biegnij do restauracji. Zostawiłam parasolkę.
— Niegłupim. Szkoda mi eleganckiego palta, które dano mi w szatni zamiast mojego.

ŚWIAT

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE
POD KIEROWNICTWEM NACZELNEM STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO
WARSZAWA, DNIA 14-go STYCZNIA 1933 ROKU
ROK XXVIII • NR. 2 • CENA NUMERU 1 ZŁOTY

Projekt ograniczenia autonomji uniwersyteckiej skierował zainteresowanie opinji publicznej ku wyższym uczelniom. Stąd powstał poniższy artykuł, poruszający jedno z najważniejszych dla kultury narodowej zagadnień. Sądzimy, że wywoła on dyskusję, dla której chętnie otwieramy łamy „Świata"

Czy Warszawa jest miastem uniwersyteckiem?

Pytanie takie może się wydać dziwacznem. Któż nie wie, że mamy Uniwersytet przy Krakowskiem Przedmieściu, a prócz tego Politechnikę, Szkołę Główną Gospodarstwa Wiejskiego, Wyższą Szkołę Handlową i jeszcze kilka innych uczelni o poziomie akademickim. A jednak pozostaje do wyjaśnienia zagadnienie: Czy każde miasto, posiadające uniwersytet, stanowi tem samem środowisko uniwersyteckie?

Jest to problem, wymagający głębszej analizy.

Nietylko w Polsce, ale niemal w całej Europie są miasta bardziej lub mniej „uniwersyteckie", choć definicja taka na pozór wydaje się dziwną.

Z pewnością w Anglji słynny Cambridge jest bardziej uniwersyteckiem miastem od Londynu, w Niemczech — Jena i Heidelberg — od Berlina, w Austrji — Graz od Wiednia, we Włoszech — Padwa od Rzymu; przed wojną w Rosji — Moskwa i Kijów od Petersburga.

Na „uniwersyteckość" danego miasta składa się nietylko fakt posiadania wyższej uczelni, ale atmosfera, jaka panuje w danem środowisku miejskiem, słowem, stopień zainteresowania się mieszkańców swoją akademją. Ale jednocześnie od potencji Uniwersytetu zależny jest wpływ promieniowania wielkiego ogniska naukowego na całokształt życia intelektualnego danego grodu.

Niewątpliwie, życie wielkich miast przy wszystkich swoich zaletach urządzeń kulturalnych posiada jedną wielką stronę ujemną: — rozprasza myśl ludzką, a nieodłączne ścierania polityczne, atrakcje rozrywkowe, wzmożona walka o byt, stosunki towarzyskie, ruch, zgiełk ulicy, płytkość kawiarniana, pogoń za sensacją i anegdotą aktualną wytwarzają specyficzną atmosferę wielkich stolic, która panuje nad środowiskiem społeczeństwa i oddziaływa ujemnie na tętno myśli intelektualnej.

Nie da się jednak powiedzieć, że reguła ta nie ma wyjątków. Stolica Europy — Paryż, mimo wszystkich pozorów miasta wybitnie rozrywkowego i płytkiego, jest środowiskiem w pełnem znaczeniu — uniwersyteckiem, o wielkiej skali napięcia myślowego.

Paryż, nie ten bawiących się swywolnie entranżerów, rzucających pieniądze na lekkie i lekkomyślne uciechy, ale Paryż poważnych Francuzów, żyjących nie rewją czy jazzbandem, lecz klasyczną muzyką, nie kinem, lecz wspa-

niałemi galerjami, wielką sztuką i wielką literaturą, ten Paryż związany jest z Sorboną, jest w nią wpatrzony, w niej rozkochany, jest w pełnem znaczeniu miastem uniwersyteckiem.

Wokół Sorbony obraca się cały intelekt Paryża. Uniwersytet paryski oddziaływa na całe poważne życie stolicy Francji. O Sorbonę zahacza nawet polityka francuska. Sorbona przenika myśl francuską i promieniuje nie tylko na stolicę Francji, ale na cały kraj, na cały świat.

Tam odbywają się codziennie prelekcje znakomitych uczonych — gości z całego świata, na najbardziej aktualne tematy doby i współżycia narodów. Niema Sorbony bez Paryża i myślącego Paryża bez Sorbony.

Polska w swojej historji ma momenty wpatrywania się w swoje wyższe zakłady naukowe. Czy to będzie świetny okres Akademji wileńskiej, czy Szkoły Głównej w Warszawie, czy Uniwersytetu Jagiellońskiego — cała Polska intelektualna wzrok i uszy skierowywała na te środowiska akademickie. Cała Polska żyła temi wielkiemi placówkami tężyzny twórczej, ich niezapomnianymi pracownikami.

Od czasu wskrzeszenia Polski myśl codzienna kraju nastawiła się na tory polityki. Nazwiska ministrów i posłów zepchnęły na plan dalszy imiona uczonych, pisarzy, artystów. Troski życia i wzmagający się kryzys gospodarczy wysunęły na czoło zagadnienie walki z biedą. Przesyt sportów i pogoń za rozrywkami odpychał na plan dalszy zainteresowanie wysiłkami twórczej pracy naszych uczonych. Prasa perjodyczna, z małemi wyjątkami, od publicystyki przerzuciła się do niewybrednej sensacji.

Nasze szkolnictwo wyższe budzić zaczynało wtedy dopiero zainteresowanie, kiedy skończonego maturzystę wypadało kierować na ten lub inny wydział uniwersytetu, politechniki, czy innej szkoły specjalnej.

Że Uniwersytet, czy Politechnika warszawska mają w gronie profesorskiem uczonych, których więcej ceniła zagranica, niż kraj własny, o tem — niestety — publiczność dowiaduje się dopiero — z nekrologów, kiedy zmęczeni życiem wielcy pionierzy nauki polskiej, najczęściej w niedostatku, schodzą z widowni.

Obsadzaniem katedr uniwersyteckich dziś ogół mało się interesuje. Prasa rzadko, albo wcale o tem nie pisze. A przypomnijmy sobie, jak wielkie przed wojną budziło w Warszawie zainteresowanie, czy rząd austrjacki zatwierdzi na profesora literatury Uniwersytetu lwowskiego Piotra Chmielowskiego. Albo jak daleko poza sfery ściśle literackie i naukowe roznosiły się poglądy na piśmiennictwo polskie prof. Stanisława Tarnowskiego. Ile to pisano na temat, czy jego następcą na katedrze literatury w Krakowie zostanie Ignacy Chrzanowski?

Miastem uniwersyteckiem może być tylko środowisko żywo interesujące się swoją akademją, głównie po przez młodzież żyjącą jego życiem.

Ale też i uniwersytet musi wychodzić po za swe mury do społeczeństwa, musi promieniować, oświecać i pogłębiać własny swój naród; uczyć i informować o zdobyczach wiedzy powinien nietylko swoich uczniów, lecz i cały ogół.

Uniwersytet nie może być obwarowaną rzeczypospolitą akademicką, izolowaną od reszty społeczeństwa. Sztachety uniwersyteckie nie powinny być murem granicznym. Od tego wielkiego ogniska nauki powinien bić tak wielki żar promienny na całe społeczeństwo, iżby począł przemawiać i porywać najbardziej nawet obojętnych.

Wykłady akademickie profesorów dla publiczności, obznajmiające ją z nowemi prądami i zdobyczami nauki we wszelkich dziedzinach wiedzy ludzkiej, byłyby pierwszym etapem nawiązania tych przęseł mostu między uniwersytetem i publicznością, których dotąd — niestety — nie widzimy.

Jesteśmy świadkami wielkich odkryć technicznych, archeologicznych, przyrodniczych, postępów medycyny, astronomji, wydzierania tajemnic przestworzom powietrznym i oceanom, obalania przestarzałych pojęć o atomach i materji, rodzą się nowe dzieła ekonomistów i socjologów, myśl ludzka tętni nowym wielkim pulsem, następuje nowe ustosunkowanie się państw i narodów. Uczeni nasi w tym wielkim pochodzie myśli ludzkiej na każdym szlaku dotrzymują kroku i sami przebijają nowe drogi do zdobycia prawdy, ale krąg ich myśli nie przenika do ogółu własnego społeczeństwa.



Uniwersytet warszawski stoi na poziomie wyżyn wiedzy wszechludzkiej, ale Uniwersytet ten nie potrafił jeszcze zdobyć dla Warszawy miana miasta uniwersyteckiego, nie z nazwy, lecz z treści.

A i te placówki, które stanowią pole zbliżenia do społeczeństwa, choć na bardziej ciasnym odcinku, czy to będzie Tow. Miłośników historji lub przyrody, czy Tow. higieniczne, nie robią większych wysiłków celem pozyskania szerszej publiczności.

A może byłoby jeszcze miejsce na stworzenie Tow. przyjaciół nauki, dostępnego nietylko dla uczonych, ale i dla tych, którzy się nauką interesują, którzyby tam mieli możność poznawania uczonych i od nich czerpania wiadomości.

Uniwersytet w stolicy państwa ma jeszcze inne obowiązki ogólnonarodowe. Stale wyłaniają się ważne problemy do rozwiązania pierwszorzędnej doniosłości państwowej. Czy będzie to zagadnienie reformy konstytucji, czy naszego ustroju rolnego lub monetarnego, głos profesorów winienby nie mniej ważyć, niż opinje posłów.

Pamiętamy te czasy, kiedy przed Trybunałem granicznym polsko-węgierskim stanął profesor Uniwersytetu lwowskiego, O. M. Balzer, aby bronić dla Polski spornego wówczas terytorjum Morskiego Oka.

I dzięki wielkiej swej wiedzy i druzgocącej argumentacji prof. Balzer tę perłę Tatr dla Polski ocalił.

Dlaczegóż w wolnej Polsce nie nasi uczeni bronią spraw polskich przed trybunałem w Hadze, lecz angażowani profesorowie holenderscy, którzy sprawy nasze nieraz już przegrywali?!

Uniwersytet nie może być tylko kuźnią nauki oderwanej. Społeczeństwo ma prawo w chwilach ważnych pytać: a cóż myślą nasi uczeni-profesorowie?

Między nauką a społeczeństwem nie ma miejsca na separację. Stolica Polski od miana grodu z Uniwersytetem musi dążyć do pozyskania nazwy miasta naprawdę uniwersyteckiego.

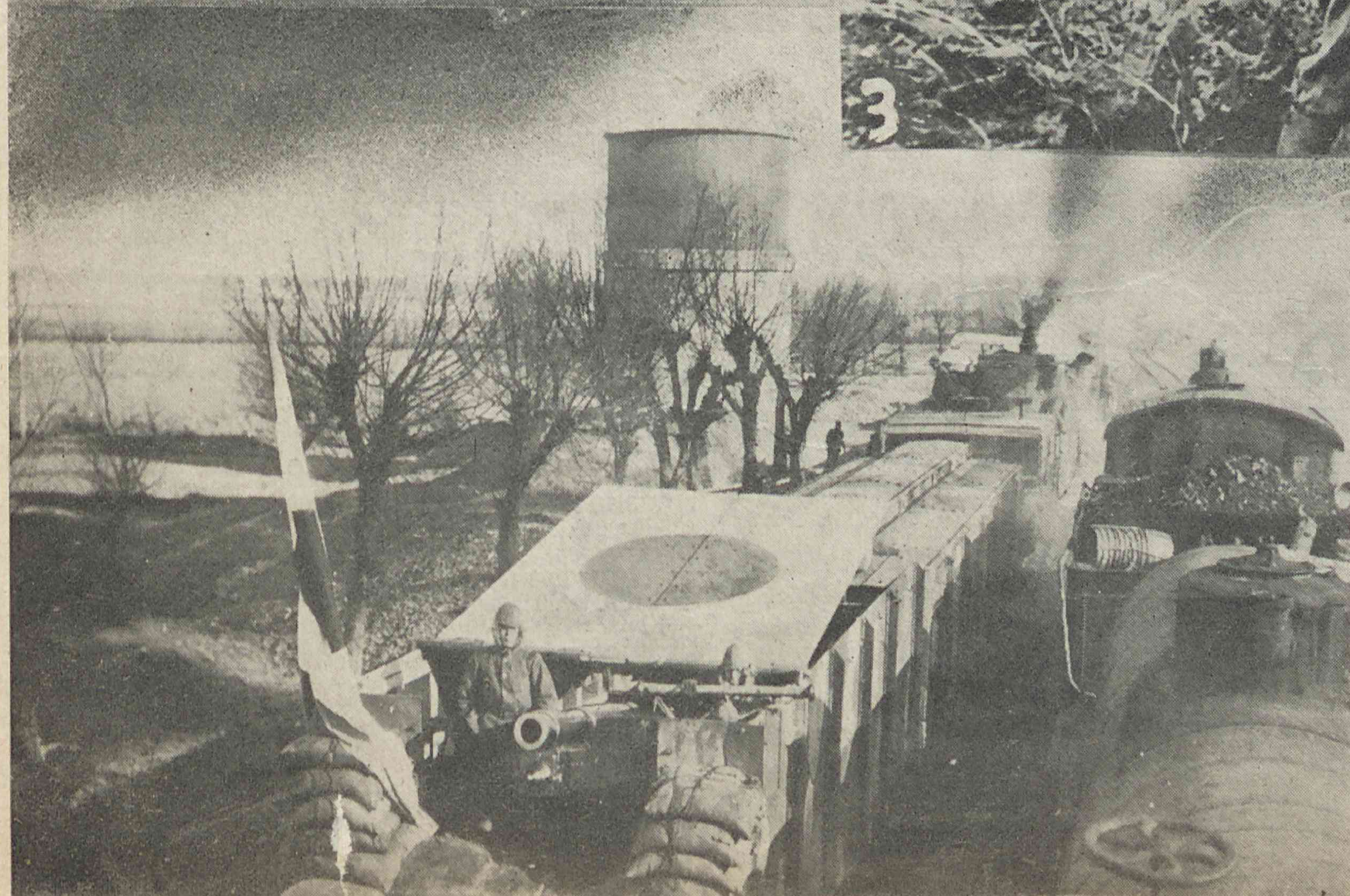
Stefan Gorski

Wznowienie działań wojennych w Chinach









1. Zamaskowany gałęziami wartownik japoński z czujnym psem - owczarkiem.
2. Wielki mur chiński, u którego podnóża rozsiadło się miasto Szanhajkwan, zdobyte przez Japończyków.
3. Pozycja wojsk chińskich pod Szanhajkwanem: gniazdo karabinu maszynowego.
4. Pociąg japoński, dowożący armaty i amunicję do Szanhajkwanu.

Fot. New York Times



TYDZIEŃ ŚWIATA

Sylwester japoński

Wygasający — zdawało się — konflikt zbrojny Chin i Japonji wybuchł z nową siłą. W Noc Sylwestrową wojska japońskie zaatakowały miasto portowe Szanhajkwan, położone na pograniczu Mandżurji i Chin właściwych. Jest to jakby brama wejściowa do Państwa Niebieskiego, nietylko dlatego, że leży u stóp Wielkiego Muru Chińskiego, lecz przedewszystkiem z tego powodu, iż tędy prowadzi droga zarówno do Tien-Tsinu i Pekinu, jak i do prowincji mongolskiej Jehol.

Szanhajkwan odgrywa doniosłą rolę handlową, robiąc konkurencję położonemu naprzeciwko i znajdującemu się w rękach japońskich Dajrenowi (Dalnij). Japończykom zależało więc zarówno na zgnębieniu współzawodnika handlowego, jak i na zdobyciu silnej podstawy do ewentualnej późniejszej akcji na Pekin i Jehol.

W ciągu dwóch dni bogate miasto obrócono w perzynę, zabijając 3 tysiące ludzi i pozbawiając mieszkańców mienia i dachu nad głową.

Po zajęciu miasta generał Nakamura zwrócił się do marszałka Czang - Sue - Lianga, kierującego obroną w Chinach Północnych, z następującemi żądaniami:

1) marszałek Czang - Sue - Liang i komendant wojsk chińskich z Szanhajkwan zwrócą się do władz japońskich z przeprosinami;

2) dworzec kolejowy w Szanhajkwan przejdzie pod zarząd państwa mandżurskiego;

3) cały okrąg Szanhajkwanu uznany zostanie za pas neutralny.

W ten sposób Japonja ulokowałaby się za Murem Chińskim i zwaliłaby odpowiedzialność za to na władze chińskie.

Jednocześnie delegacja japońska w Genewie zapewnia, że incydent szanhajkwański ma czysto lokalne znaczenie i że wojska japońskie nie posuną się dalej — o ile nie będą znów „sprowokowane".

Głośna sprawa

(r.) Afera podatkowa księcia Pszczyńskiego staje się coraz większą sensacją. Rewelacje katowickiej „Polonji" poruszyły nader żywo opinję publiczną. Organ p. Korfantego drukuje tajny raport agenta ks. Pszczyńskiego, w którym tenże agent zdaje bardzo dokładnie sprawę ze swych zabiegów, mających na celu zorganizowanie obrony interesów księcia. Nazwiska osób, rzekomo biorących czynny udział w tej akcji, są głośne w świecie politycznym. Sen. Sobolewski zapowiedział już publicznie, że występuje przeciw „Polonji" z procesem o zniesławienie. Zapewne za tym przykładem pójdą i inni dygnitarze, zajmujący wysokie stanowiska.

Wydaje nam się, że dla uspokojenia opinji ta droga jest najwłaściwsza. Publiczny proces najlepiej wyjaśni, czy i w jakiej mierze uczynione zarzuty są słuszne. Stosunki i stanowiska polityczne nie mogą być wyzyskiwane dla tego rodzaju procederów.

Jawne rozprawy sądowe położą wreszcie kres niepokojącym plotkom, jakie od dłuższego czasu kolportowane są o wpływowych jakoby „pośrednikach", którzy mają u nas odgrywać rolę dawnych, petersburskich „chodotajów". Była to hańba systemu carskiego. Niepodobna pomyśleć, aby w odrodzonem państwie polskiem mogły żerować podobne filuty.

Sędziwe pismo

Dn. 1-go stycznia r. b., wstępując w 75 rok istnienia, „Dziennik Poznański" wydał okazały numer, zawierający zarówno cenne prace historyczne, jak i artykuły aktualne.

Nie jest to jednak jeszcze właściwe uczczenie jubileuszu, który za rok dopiero przypada.

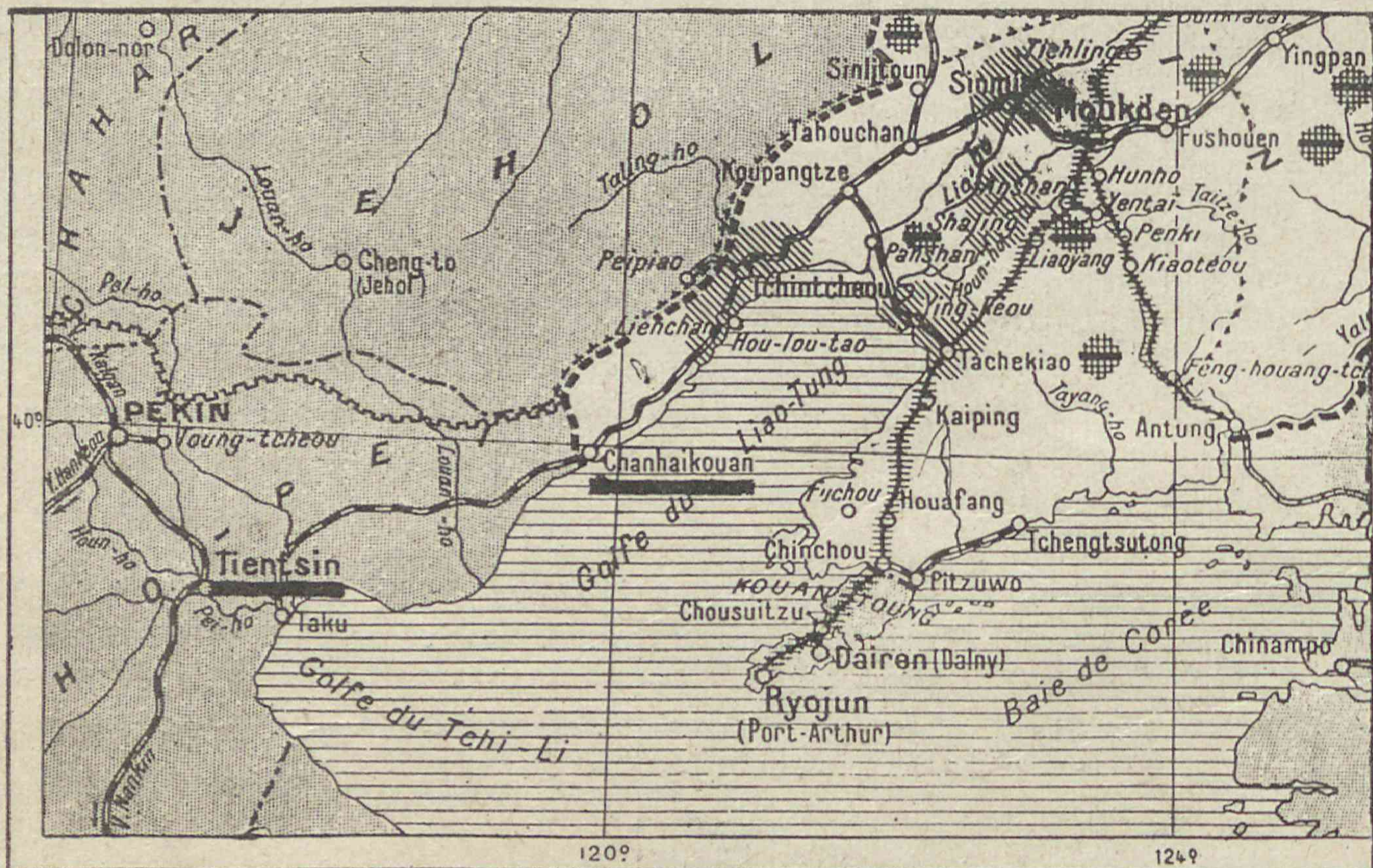
„Dziennik Poznański" założony bowiem został w 1859 roku przez Hipolita Cegielskiego, który był też twórcą największej fabryki poznańskiej oraz inicjatorem niezliczonych instytucji społecznych, gospodarczych i kulturalnych.

Niezwykły ten człowiek zrozumiał, że dla normalnego rozwoju społeczeństwa polskiego potrzebny jest codzienny organ opinji publicznej, nietylko informujący ją o zdarzeniach dnia, ale i sterujący nią w odpowiednim kierunku.

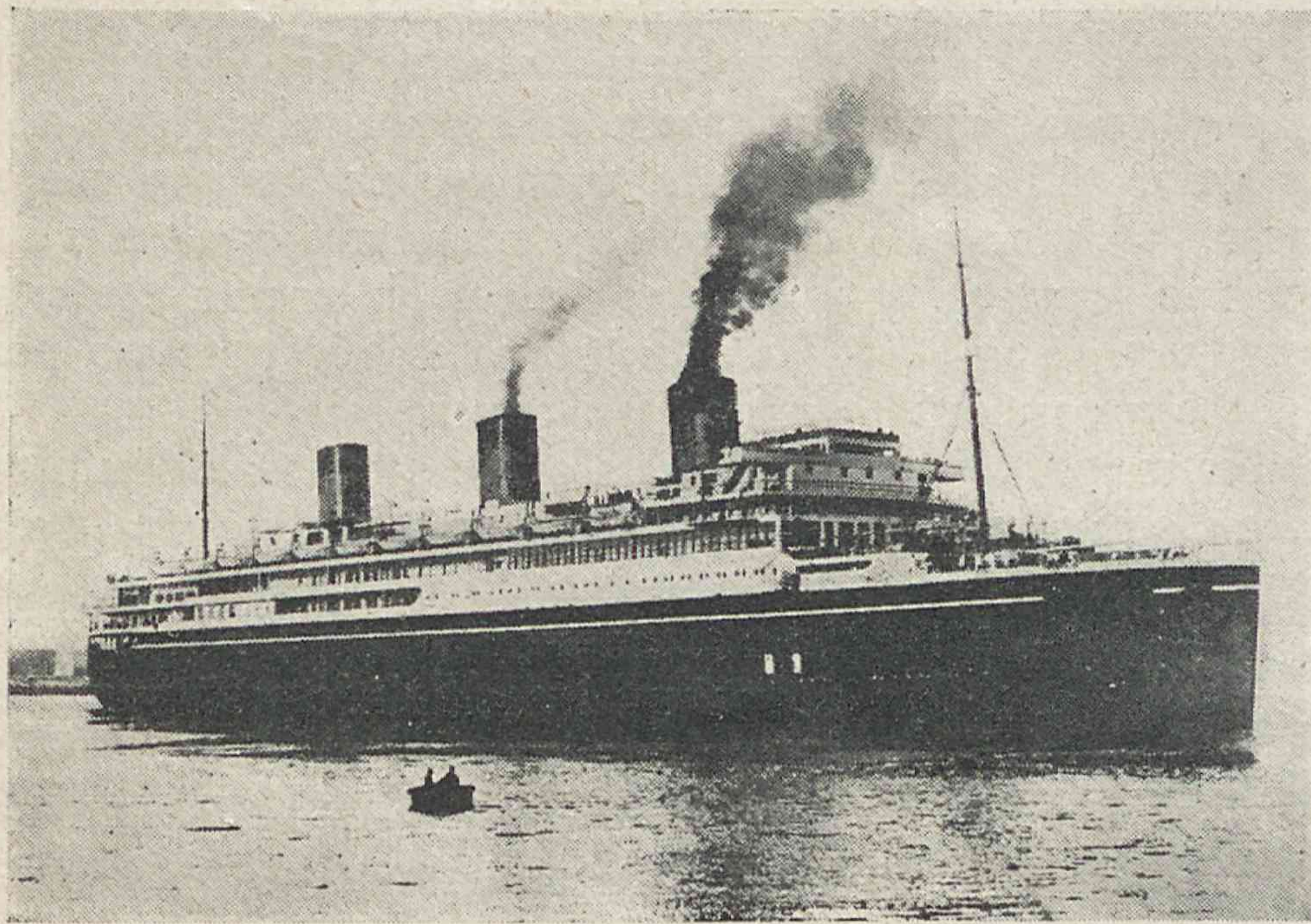
„Dziennik Poznański", jako najstarsze, a przez pierwszych kilkanaście lat jedyne codzienne pismo polskie w zaborze pruskim, przykładnie wywiązywał się ze swego zadania. Odznaczał się — w pierwszym zwłaszcza okresie istnienia — niezależnością zdania, odwagą przekonań i niezmordowaną obroną interesu narodowego.

Było to pismo prawdziwie liberalne, w najlepszem znaczeniu tego słowa, to też ze strony różnych wstecznych pisemek koteryjnych ulegało nieuzasadnionym atakom i przeróżnym wyzwiskom. Nie przeszkadzało mu to wywierać potężnego i dobroczynnego wpływu na sprawy polskie w zaborze pruskim i zyskać szacunek w szeregu pokoleń, kształcących się politycznie na jego łamach.

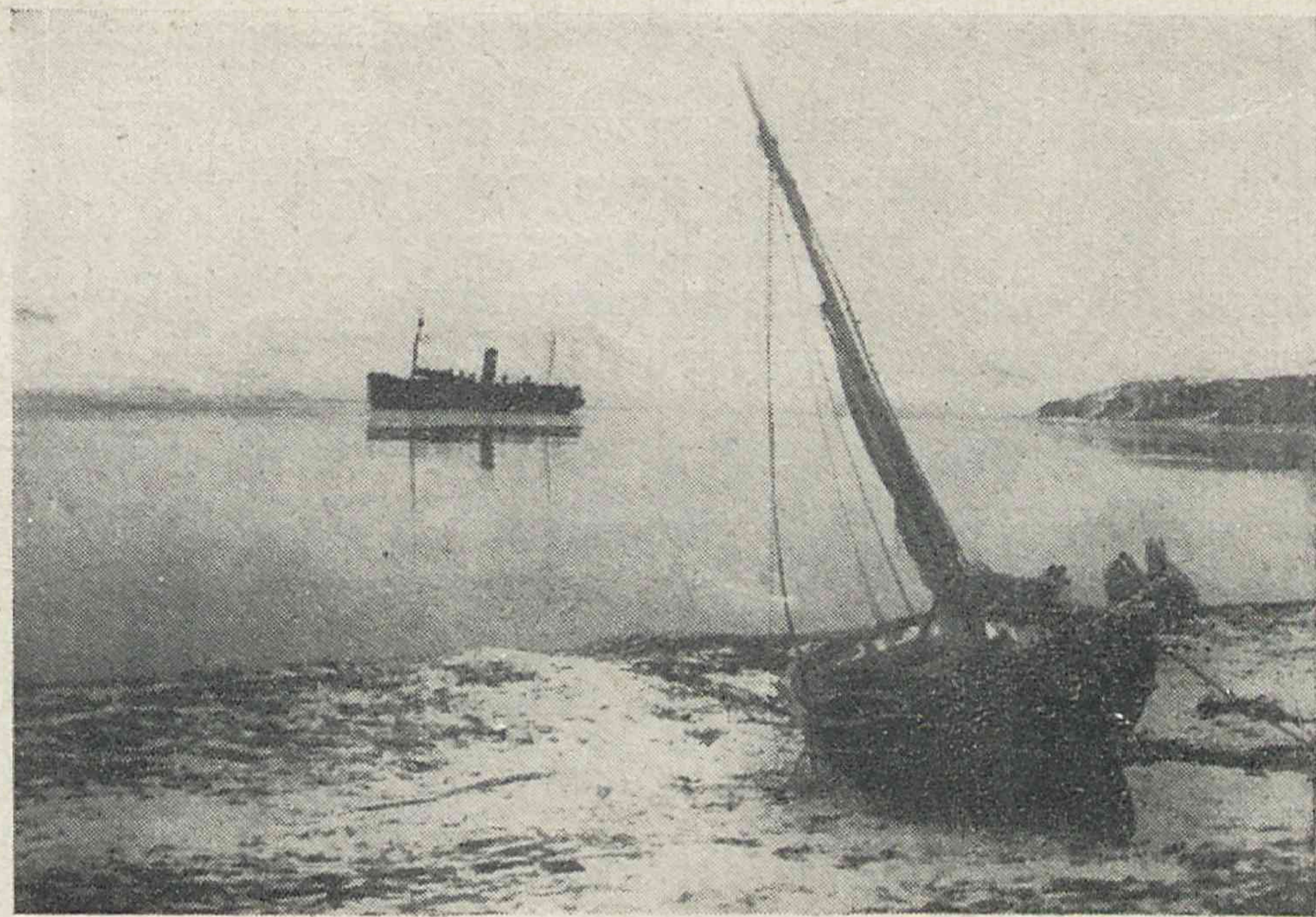
Należy też „Dziennik Poznański" do niewielu szczęśliwych czasopism



MAPA DZIAŁAŃ WOJENNYCH NA POGRANICZU MANDŻURJI, JEHOLU I CHIN WŁAŚCIWYCH



OLBRZYMI FRANCUSKI OKRĘT PASAŻERSKI „ATLANTIQUE" SPŁONĄŁ W POBLIŻU CHERBOURGA. PRZYCZYNA POŻARU PRZEDSTAWIA SIĘ BARDZO TAJEMNICZO



ROSYJSKI ŁAMACZ LODÓW „MAŁYGIN" ZDERZYŁ SIĘ NA OCEANIE LODOWATYM Z GÓRĄ LODOWĄ I ULEGŁ ROZBICIU

polskich, posiadających własną spisaną historję. Opracował ją przed 25 laty dr. Stanisław Karwowski, dziejopisarz Księstwa Poznańskiego, wydobywając z pożółkłych kart dziennika tętniącą krwią treść życia narodu i kraju.

Teraz zapewne „Historja Dziennika Poznańskiego" będzie przypomniana i uzupełniona w nowem wydaniu, abyśmy mogli lepiej poznać dzieje codziennego zmagania się polskości z naporem niemieckim.

Etatyzacja drukowanego słowa

(s.) Niezależne, t. j. niesubwencjonalne (w ten czy inny sposób) dzienniki i czasopisma polskie znajdują się przeważnie w położeniu tragicznem. Kryzys odbił się przedewszystkiem na książce, dzienniku i tygodniku. Spadły znacznie nakłady. Zmniejszyły sie katastrofalnie ogłoszenia. Wydawcy dokonują nadludzkich wysiłków, aby przetrwać przesilenie, aby uratować stare, zasłużone w dziejach kultury narodowej placówki.

Zdawałoby się, że w tej akcji ratunkowej wydawcy powinni spotkać się z poparciem i pomocą ze strony czynników miarodajnych. Niestety! Tak wcale nie jest. Niedawno pisaliśmy o poczynaniach Min. Poczt i Telegrafów, o zapoczątkowaniu przez to Ministerstwo bezpośredniej konkurencji w dziedzinie ogłoszeń. Polska Agencja Telegraficzna, opierająca się na sutych subwencjach rządowych, żwawiej jeszcze sobie poczyna. Wydawcy polscy wszelkich, — najsprzeczniejszych—odłamów utworzyli przed kilkunastu laty spółkę akcyjną „Ruch", instytucję na wskroś apolityczną, która objęła księgarnie kolejowe ...i reklamy w pociągach. Spółka ta, właściwie kooperatywa najpoważniejszych w Państwie wydawców, prowadzona wzorowo, rozwinęła się doskonale, stworzyła świetną organizację.

I oto wciąż szwankująca w swej działalności Polska Agencja Telegraficzna, korzystająca z możnych protekcji niepoprawnych etatystów, sięga teraz po agendy „Ruchu", odbiera mu reklamy w pociągach, zamierza podobno odjąć i księgarnie kolejowe. I znajduje opiekunów, którzy współdziałają w zniszczeniu przedsiębiorstwa, znakomicie prowadzonego, zatrudniającego kilkuset pracowników, — przedsiębiorstwa, w które wydawcy włożyli duże kapitały i wielki wysiłek pracy.

I czyni to instytucja, która byt swój winna opierać na dochodach, od wydawców dzienników czerpanych! Dla kogo taka polityka musi się źle skończyć?...

Z salonów dyplomatycznych

(sk.) W poselstwie niemieckiem, wobec licznego grona zaproszonych literatów i artystów warszawskich, prof. Alfred Kuhn z Berlina przesunął na ekranie filmowym kilkunastu niemieckich malarzy i rzeźbiarzy przy pracy. Objektyw kinematograficzny pochwycił znakomicie ich ruchy i gesty. W ten sposób, prócz dzieł, które po artystach zostaną, będzie można jeszcze przez długi czas widzieć, w jaki sposób tworzyli swoje dzieła. Jednej rzeczy tylko nie uchwyci najwrażliwszy objektyw: tajemnicy talentu twórczego... Bo te same ruchy i gesty nic nie pomogą człowiekowi, którego Opatrzność zapomniała obdarzyć talentem.

P. poseł niemiecki, hr. Moltke i jego małżonka posiadają niezwykły dar gościnności. Ich przyjęcia odznaczają się atmosferą, która nie ma nic wspólnego ze zwykłym w dyplomacji ceremonjalnym nudnym szablonem. Interesują się przytem żywo wszelkiemi objawami życia kulturalnego i artystycznego. Więc i pod tym względem stanowią w światku dyplomatycznym wyjątek.

. . . .

Po pokazie w miłym nastroju gawędzono do późnej nocy przy doskonałem piwie monachijskiem, cedzonem wprost z beczki.

To piwo było nietylko wyśmienite, ale i bogate w historję. Nadeszło do Warszawy w południe. Dzień był świąteczny. Piwo jest dość rzadkim gościem na komorze celnej — tembardziej piwo, przeznaczone do placówki dyplomatycznej i wolne od cła. Panowie z poselstwa mieli niełatwe zadanie: jak wydobyć z komory ładunek bez cła i to w dzień świąteczny?

Podobno wielu dygnitarzy zajmowało się tego dnia piwem poselstwa niemieckiego i kilka urzędów użyło swoich wpływów na komorze. Ostatecznie dwa antałki z Monachjum udekorowały gościnny salon państwa v. Moltke — a artyści, pisarze i dziennikarze polscy mieli rzadką ucztę „piwną" w uzupełnieniu uczty artystycznej.

Czyżby chcieli wojny?

Fałsze o naszem Pomorzu

Rząd nasz był zmuszony w ostatnich dniach złożyć aż dwie noty z protestem z powodu nadużycia radja dla niemieckiej propagandy wrogiej Polsce: raz w Berlinie, drugi raz w Londynie.

Pierwszy z tych wypadków byłby zrozumiały, gdyby nie międzynarodowa umowa radjowa, zabraniająca używania tego urządzenia o wysokiem znaczeniu kulturalnem dla szerzenia nienawiści między narodami.

Ale drugi wypadek jest znamienniejszy.

W Londynie, na stacji nadawczej, speaker pozwolił sobie w wieczór sylwestrowy, podczas przeładowywania programów z różnych stacji europejskich powiedzieć, przechodząc z Królewca na Warszawę, co następuje:

„A teraz przez korytarz polski, który przecina Niemcy na dwie części, przełączymy się na Warszawę, stolicę nowego kraju — Polski, która wydaje jedną trzecią swego budżetu na olbrzymią armję"...

Byłoby naiwnością traktowanie faktu tego, jako nietaktu speakera. Speaker nic tu nie zawinił. Wykonał czyjś rozkaz. Skromny młody człowiek, który zarabia w ten sposób na kawałek chleba, napewno nie wie, gdzie leży Polska, bo gdyby wiedział, toby nie palnął głupstwa, że z Królewca do Warszawy droga prowadzi przez „Korytarz". Speaker ten nie zna historji Polski i nie wie, czy Polska jest krajem nowym czy starym. Nie widział on również nigdy budżetu polskiego. A wogóle wszystko to razem nic go prawdopodobnie nie obchodzi. Nie możemy przypuszczać, żeby urzędnik radjowy ryzykował swoje stanowisko za łapówkę z niemieckiej ambasady w Londynie, aby tylko wygłosić w Sylwestra jedno zjadliwe, głupie, kłamliwe zdanie przeciwko Polsce.

To nie jest takie proste.

Kolosalna propaganda niemiecka, dążąca do przekonania świata, że nasze Pomorze musi być zwrócone Niemcom, bo bez niego zginą i oczywiście nie będą mogli płacić, a prócz tego nie będzie pokoju w Europie, ta propaganda, oparta na fałszach zbyt jasnych, podana „po niemiecku", to znaczy niezręcznie, nie zrobiłaby nam żadnej krzywdy, gdyby świat istotnie chciał pokoju.

Rządy europejskie i amerykańskie nie składają się przecież z matołków, którzy nic nie wiedzą, nic nie rozumieją i niczego się nie uczą. I politycy i parlamentarzyści i publicyści i profesorowie i różni „miarodajni" doskonale zdają sobie sprawę, że cała argumentacja niemiecka jest nonsensem. Ci panowie zwiedzali nasze Pomorze, czytali o niem niezliczone broszury i dzieła, studjowali sprawę i są najmocniej przekonani, że sto procent racji mamy my, nie Niemcy.

Ale propagandę niemiecką tolerują, więcej, — sprzyjają jej.

Czy za niemieckie pieniądze?

W wielu wypadkach tak, ale pieniądz nie wszędzie ma zasięg.

Pozostałaby potworna hipoteza, że te sfery, które rządzą opinją, prasą i — rządami, wielki przemysł Europy i Ameryki oraz finanse — chcą wojny.

Może widzą w niej ratunek z kryzysu, bo wojna da im olbrzymie zamówienia, bo przyjdą dla banków lata tłuste pożyczek państwowych, spekulacji na walutach i inflacji, bo w wojnie widzą rozwiązanie sprawy bezrobocia, a może ratunek, choćby chwilowy, przed rewolucją, której się obawiają.

Wszak ci ludzie zdają sobie doskonale sprawę, że Polska nie zasiądzie do stolika dla dyskusji o rewizji traktatów i zmianie granic. Może do tego dojść tylko po przegranej wojnie.

Czyż istotnie cynizm kultu złotego cielca takby już podeptał wszelkie pierwiastki etyczne w ludziach, że widmo morza krwi, cierpień, łez, rozpaczy i nędzy nie wstrzymałoby ich od obliczania zysków?

Należałoby rozwiać te koszmarne przypuszczenia.

Uczciwa prasa europejska winnaby poddać rewizji, ale nie traktaty, tylko źródła obłąkanej propagandy.

Prawdziwa droga do pokoju wiedzie tylko przez rozwianie chorych nadziei niemieckich.

Dr. G. Ol.

ZGON PREZYDENTA „PROSPERITY"

(Ze wspomnień osobistych)

Lato 1927 r. było najpiękniejszem latem powojennej Ameryki. „Prosperity" wydawała się wieczna. Miljardy latały w powietrzu. Z dnia na dzień pęczniały kieszenie właścicieli akcyj i obligacyj. Fabryki samochodowe biły co tydzień własne rekordy i nie mogły nastarczyć zapotrzebowaniu. Do Europy płynął złoty strumień pożyczek i kredytów. Ameryka chciała cały świat uszczęśliwić swoją „prosperity", chciała na świecie zaprowadzić „Pax Americana", oparty nie na potędze miecza, jak „pax Romana", ani na potędze marynarki i pieniądza, jak „pax Britannica", lecz na potędze maszyny i na rosnącej chłonności całej ludzkości, nabywającej coraz to większe ilości towarów, nauczonej konsumować, wydawać, żyć coraz wygodniej i lepiej.


CALVIN COOLIDGE

Symbolem tej „prosperity" był Calvin Coolidge, prezydent Stanów Zjednoczonych, najbardziej może amerykański z prezydentów.

Dzięki uprzejmości kierownika waszyngtońskiej redakcji „New York Timesów", otrzymałem zaproszenie na wtorkowe, odbywające się co tydzień przyjęcie prasowe w Białym Domu. Pouczono mnie, że jeżeli chcę czegoś dowiedzieć się od prezydenta, powinienem napisać pytanie na odpowiednim blankiecie. Wszystkie pytania doręczane są prezydentowi, i podczas konferencji udziela on odpowiedzi — albo też pomija pytania milczeniem. Dyskusji niema. Niekiedy dziennikarzom daje się gotowy już komunikat. W prasie nie wolno wymieniać prezydenta, jako autora odpowiedzi: mówi się eufemicznie o „otoczeniu" prezydenta, o „najbardziej autorytatywnem źródle" etc.

Napisałem na kartce kilka zdań. Najważniejsze pytanie dotyczyło rokowań o pożyczkę stabilizacyjną dla Polski i o stanowisko rządu St. Zjed. w tej sprawie. Prezydent był nieco zdziwiony tem pyta-

niem, którego nie spodziewał się od „swoich" dziennikarzy. Niemniej odpowiedział, że Rząd przychylnie traktuje wszelkie pożyczki, które mają służyć odrodzeniu gospodarczemu świata.

Po zakończeniu przyjęcia zatrzymałem się na chwilę z kolegą w gabinecie prezydenta i zostałem mu przedstawiony. Przyjrzałem się zbliska temu uosobieniu „prosperity", blademu, szczupłemu człowiekowi o ascetycznej niemal twarzy, wąskich wargach, ostrym nosie, człowiekowi, którego wygląd był zaprzeczeniem popularnej sylwetki jowialnego, tłuściutkiego „businessmanà" powojennej Ameryki. Pomyślałem, że gdyby Coolidge'owi przypiąć bródkę, byłby idealnym „wujciem Samem" pionierskiego okresu Unji Północno-Amerykańskiej.

Bo też p. Coolidge był potomkiem purytańskich emigrantów i synem Nowej Anglji, tej dzielnicy, w której przechowały się surowe tradycje „pielgrzymów" i ich etyka, do najwyższych cnót zaliczająca gromadzenie dóbr doczesnych. P. Coolidge uchodził za ideał prezydenta amerykańskiego, ponieważ był zdania, że najlepszy jest ten rząd, którego obywatel nie odczuwa, który obywatelowi nie daje się we znaki, który od obywatela jaknajmniej wymaga. „Totem" prymitywnych ludów dalekiej Północy jest dlatego doskonałem bóstwem, że niczego nie pragnie i nie żąda ofiar. Coolidge był „totemem" Ameryki z okresu „prosperity".

Kiedy wychodziliśmy z okrągłego gabinetu prezydenta, skłoniwszy się przed nim i przed gwiaździstym sztandarem, zatkniętym obok biurka, spotkaliśmy w hall'u tęgiego, wysokiego pana o okrągłej, wesołej twarzy. Poznałem p. Hoovera, ministra handlu, przyszłego prezydenta, wyniesionego na to stanowisko na wysokiej fali „prosperity". Któż przypuszczałby wtedy, latem 1927 roku, że ten właśnie p. Hoover, już nietylko duchowo, ale i fizycznie uosobiający szczęśliwość Ameryki, zostanie przeklęty przez miljony wyborców, jako symbol kryzysu i największego grzechu: ubóstwa i nędzy.

J. S.

SZTUKA WYKWINTNEGO OTOCZENIA

Niedawno jeszcze, ante Crisisum natum, polskie wytwórnie sztuki stosowanej poprostu zalewały się potem i wydążyć nie mogły zapotrzebowaniom rynku.

Wywożono batiki, kilimy, dywany, zabawki, hafty, fajans i glinę, skupowano wyroby z drzewa, ze szkła, z żelaza i z porcelany, co druga, a napewno co trzecia Warszawianka odczuwała nagły dryg do artyzmu i tworzyła sztukę stosowaną.

Było to w lwiej części liche, ale szło za franki, funty i prawdziwe dolary. Szło i rozeszło się, a resztki niewykupione przydały się na upominki dla kuzynek, które oddawały się innym sztukom.

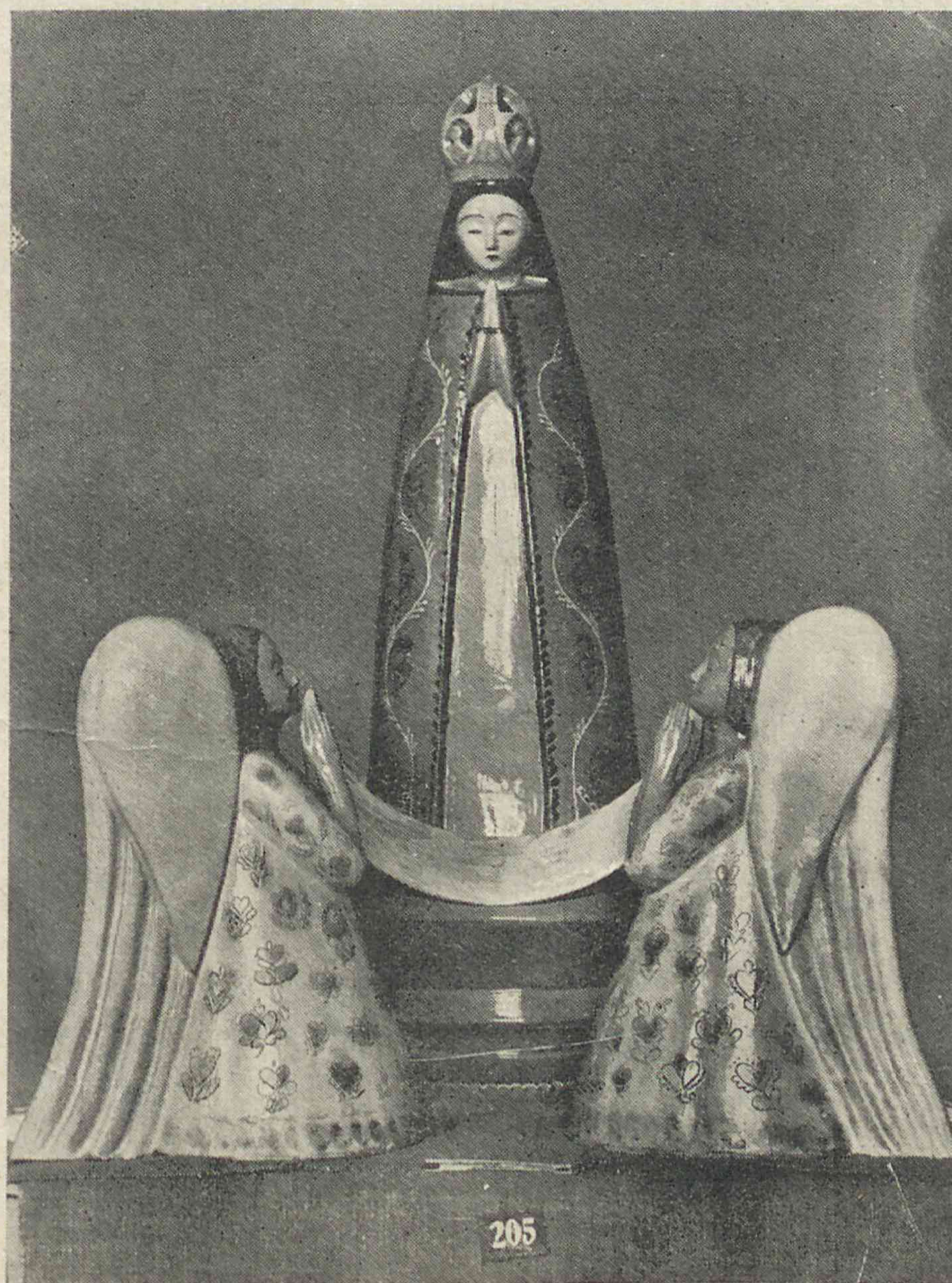
Przy warsztatach pozostali istotni artyści, w tem słusznem zrozumieniu, że sztuka stosowana przenika o wiele głębiej w naród, stwarza koloryt epoki i ukształca ludzkie otoczenie.

Różnorodność i bogactwo sztuki stosowanej świadczy o duchowej i materjalnej kulturze narodu w sposób znacznie wyrazistszy, niż świetne rzeźby i obrazy, dostępne tylko dla wybrańców losu.

A to trzeba sobie uprzytomnić, iż polska sztuka stosowana obecnej doby ma swoje zdecydowane oblicze, jak w żadnym innym kraju na zachodzie Europy. A stało się to dzięki twórczej pracy obecnego pokolenia, które zerwało z szablonami kosmopolitycznemi i zwróciło się do motywów i konstrukcji ludowych, uszlachetniając je i przystosowując do potrzeb życia.

Jedną z twórczyń współczesnej sztuki stosowanej w stylu najlepszym i najszlachetniejszym jest niewątpliwie w dziale ceramiki p. Wanda Szrajberówna, zaszczytnie znana z wielu wystaw w Warszawie. Świeżo wystawione w Salonie Garlińskiego prace p. W. Szrajberówny, stylizujące świątki ludowe w ceramice, posiadają właściwą tej artystce świetność formy, znakomite opanowanie techniczne, są dziełami dużej kultury artystycznej pomimo swej stylizowanej prymitywności.

Z racji wystawy tej niepospolitej artystki padło kiedyś wielkie imię „della Robbia" i słusznie, że padło, bo p. W. Szrajberówna posiada wszystkie warunki, by w sztuce polskiej zająć to samo miejsce, które zajmowała niegdyś we Florencji rodzina Robbiów. Jednego tylko jej brak: tej sprzyjającej atmosfery i zainteresowania, które rozpina skrzydła artystom.



WANDA SZRAJBERÓWNA „ADORACJA"

Debiutantką w Warszawie jest pani Gerta Leitgeberowa, Dunka rodem, z męża Polka.

Sztuki malowania na porcelanie uczyła się w Kopenhadze, mieście wielkich tradycyj ceramicznych i stamtąd przywiozła wykwintny umiar, szlachetność linji i koloru a przedewszystkiem delikatność barw, cechującą nietylko porcelanę kopenhaską ale i tamtejsze malarstwo.

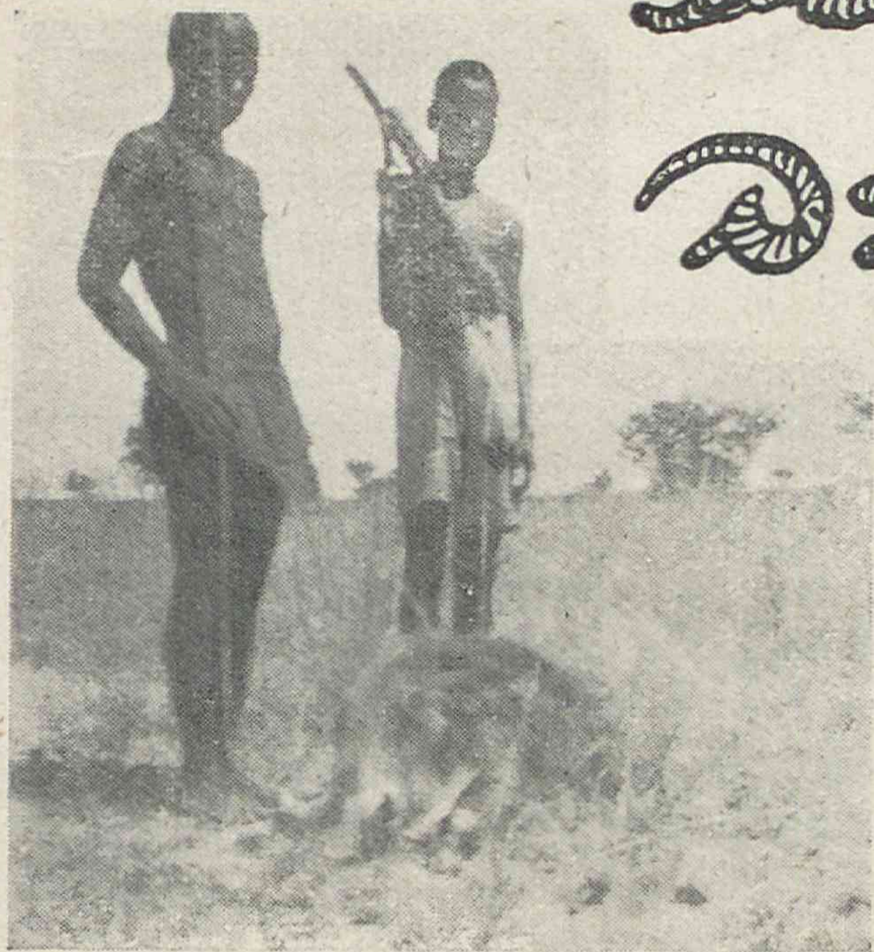
W zestawieniu z porcelaną polską, śmiałą i mocną w kolorze, prace pani G. Leitgeberowej są pewnego rodzaju egzotyzmem.

Działalność potrzebną a nawet konieczną rozwija p. Stefanja Altberżanka. Jej hafty, ornamentacyjne zwierzęta i kwiaty, wystrzygane z sukna, ta drobna, niepozorna sztuka, z której przebija dobre wyczucie groteski i smak kolorystyczny, bardzo pomysłowe kompozycje dekoracyjne mają swój odrębny typ i właśnie dlatego stanowią cenny nabytek współczesnej sztuki stosowanej w Polsce.

Dla smakoszów przeznaczone są piękne wytłaczania w skórze p. Almy Stodolskiej. Dama wykwintna po nie sięgnie i ustroi w nie swą rękę... Szkoda tylko, że tych dam tak mało, jak wogóle mało życiowych radości.

Witold Bunikiewicz

Tam wśród dzikusów



Część druga wspomnień podróżniczo-myśliwskich z Afryki Środkowej p. t. „Od oceanu do oceanu"

Wokoło kół ułożono faszynę, w poprzek zaś solidne długie żerdzie.

W gęstem bulgocącem błocie namacano osie i resory, do których przywiązano liany, a przeszło czterdziestu chłopa zaprzęgło się ochoczo do roboty. Przy chóralnym i monotonnym okrzyku „Ulaaaaaa" „Ulaaaa" sparli się dzielni wojacy i rozbujaną maszynę wyholowali na brzeg trzęsawiska przy nadludzkim wysiłku.

Siadłem do kierownicy i pchany przez czarną pokorną brać objechałem fatalne pasmo podskórnych ruczajów i znów stanąłem na twardej sawannie po parogodzinnych zmudnych wysiłkach. Ngolube był uszczęśliwiony, gdyż po raz pierwszy w życiu siedział w prawdziwem aucie, a jego próżność była tem bardzo podekscytowana szczególnie, że działo się to na oczach całej wioski, w obecności nieprzeliczonych jego żon, wojowników i dzieciarni.

Aby ostatecznie zjednać sobie tego egzotycznego władcę, wybrałem się na polowanie i pozostawiłem mu w darze dwa piękne bawoły, które ubiłem w bajorach, gdy zmęczone skwarem rzeźwiły się w błocie. W największej potem zgodzie pożegnałem się z j. kr. mością, hojnie obdarzony paroma figurynkami z hebanu i dwiema kobiałkami jaj kurzych.

. . . .

I tak, popasając i polując, wolno posuwałem się naprzód w kierunku zachodnio-północnym w ciągłej wojnie z czarnymi, którzy gdzie tylko mogli, dawali mi się we znaki. A do Janude jeszcze kawał ciężkiej, ledwo widocznej drogi, wijącej się wśród rozmiękłej deszczami savanny, dzikich skalistych płaskowzgórzy lub głębokich piachów. Zaś benzyna spala się, jak eter, moc wielką spotrzebowywuję na tym straszliwym upale.

. . . .

Dziś spotkałem pierwszy raz szereg automobili, nowych Citroen'ów, które szły z Duala do Bangui dla kopalń złota i miedzi. Prowadził konwój biały mechanik nazwiskiem Rassmuyssen, który mi opowiedział, że w dwóch miejscach musiał budować mosty, które czarni rozebrali, słysząc zbliżające się auta, oraz że brak promu na rzece, której nazwy nie pamiętał. Pozatem powstanie plemienia Saxi, dzikiego i wojowniczego szczepu, nic mi dobrego nie wróżyło w mej ciężkiej i bez tego podróży.

Biwaki nocne były niewesołe: jęczały przeraźliwie szakale, śmiały się hjeny; boy'e twierdzili nawet, że słyszeli ryk lwa: musiało to być wtedy, gdy zasnąłem nareszcie po długich godzinach oczekiwania na sen. Zapasy były na wyczerpaniu.



...ZABIŁEM KULĄ PASACEGO SIĘ DIKDIKA JESTTO NAJMNIEJSZA GAZELLA, JAKĄ W AFRYCE SPOTKAŁEM...

Szczególnie sól ulatniała się w niepokojący sposób, lecz nie miałem odwagi zamknąć przed czarnymi tego przysmaku, gdyż była to jedyna przynęta, jaką ich przy sobie trzymałem i nieraz tylko wzamian za sól otrzymywałem od murzynów owoce, warzywa, kury i jaja. Mięso z polowania tak mi obrzydło, że sam zapach przyrządzanych przez czarnych posiłków przyprawiał mnie wprost o mdłości.

. . . .

Nadszedł piękny okres suszy po długim czasie nieustających ulew i tornado. Pojawienie się słońca przywitałem z radością. Bogata flora afrykańska po długich deszczach jeszcze wspanialej i bujniej wygląda w pełnem oświetleniu podzwrotnikowego słońca. I choć było znacznie goręcej, temperaturę tę łatwiej znieść było można, niż wilgotne gorąco deszczowej pory, gdy człowiek ma wrażenie, że znajduje się w łaźni rzymskiej.

. . . .

Ten dzień był pamiętnym w dziejach mojej karjery myśliwskiej. Mniejwięcej na godzinę przed zachodem słońca zatrzymałem się nad wyschniętem łożyskiem potoku, tworzącego niejako tunel, o sklepieniach z ljan, konarów i gałęzi rozmaitych drzew i krzewów. — Poleciwszy boy'om urządzenie biwaku i sporządzenie ryżu na kolację, z rozkoszą puściłem się łożyskiem na polowanie, chcąc rozprostować nogi po całodziennem siedzeniu przy kierownicy. Liczne tropy fakoszerów i bawołów odznaczały się wyraźnie na czerwonej glebie. Szedłem cicho i szybko, mając i tak powrotną drogę zapewnioną; wiodła ona wprost do obozu wyschłem łożyskiem. Wkrótce znalazłem się nad mokradłem, porosłem wysokiem „matety" (trzciną) i w chwili, gdy zastanawiałem się, czy je okrążyć, czy też przejść wpoprzek (rzecz o tyle niebezpieczna, że można łatwo spotkać się z wężem), usłyszałem krótki ryk, odgłosy szamotania się i walki. W dżungli rozgrywał się tuż przedemną zwykły dramat — walka o byt. Po chwili wszystko ucichło.

Stałem jak skamieniały, starając się odgadnąć, jakie zwierzęta były aktorami tej niewidzialnej sceny, gdy wtem zaszeleściły matety, poruszyły się wysokie ich końce i przedemną ukazał się w gąszczu duży lampart, niosący w potężnych szczękach fakoszera. Byłem tak

zaskoczony tym niezwykłym widokiem, że pierwszy odruchowy strzał trafił, jak się później okazało, w fakoszera, który kuli już nie potrzebował.

Lampart po strzale wypuścił zdobycz i przybrał naprawdę groźną postawę. W półmroku, panującym w tunelu, jasno, jak gwiazdy, świeciły się zielonkawym blaskiem wspaniałe ślepia. Drugi, niezwłocznie po pierwszym następujący strzał, trafił lamparta w wysoki kark. Dał on szalonego werfla, upadł na grzbiet, stanął na łapy, myślałem, że skoczy, lecz tylko rzęził i wił się na miejscu ze sparaliżowaną szyją. Nie chciałem niepotrzebnie dziurawić ekspansywnemi kulami drogocennej skóry, więc pozostawiłem lamparta na miejscu i ruszyłem szybko w powrotną drogę, aby zabrać zdobycz do obozu. Gdy z obu boy'ami wróciłem na miejsce krwawego dramatu, lampart dawał jeszcze oznaki życia. Dobrze wymierzony cios sagai na komorę przerwał nić życia rabusia dżungli. Zaraz też zaczęliśmy ściągać wspaniałą skórę, co było dość mozolną pracą, gdy się weźmie pod uwagę, że za całe oświetlenie miałem lampkę naftową, strasznie kopcącą, gdyż szkło było rozbite.

Tego wieczora z prawdziwą przyjemnością spożyłem kawał schabu fakoszera, z lubością spoglądając na rozpiętą na żerdziach bambusowych śliczną lamparcią skórę. Niestety, ani tej, ani piętnastu innych pięknych skór drapieżników nie było mi sądzone dowieźć do kraju: w misterny sposób zostały mi one skradzione w dniu przybycia do Bordeaux i, pomimo poszukiwań przez policję, nigdy na ich ślad nie natrafiono.

. . . .

Po doskonale przespanej nocy ruszyłem kamienistą drogą; wielkie głazy, leżące gęsto przedemną, zmuszały do objazdów, a częstokroć trzeba było wysiadać i z niemałym trudem usuwać je, aby wogóle móc przejechać. Zauważyłem podejrzany szmer w motorze: gdy zacząłem go badać, przyłożywszy doń śrubokręt, koniec którego przystawiłem sobie do ucha — przekonałem się, że to stuk panewki, a ponieważ nie miałem zapasowej — trzeba było zabrać się niezwłocznie do reparacji. Spuściwszy oliwę i odkręciwszy karter, dostałem się do panewek. Na szczęście, udało mi się podłożyć cienką



...ZAUWAŻYŁEM PODEJRZANY SZMER W MOTORZE. SPUŚCIWSZY OLIWĘ I ODKRĘCIWSZY KARTER, DOSTAŁEM SIĘ DO PANEWEK...

mosiężną blaszkę pod panewkę i po dobrem spasowaniu wszystko znów na miejsce dokręciłem. Praca ta zajęła mi pół dnia, tak, że postanowiłem obóz rozbić w tem miejscu, gdzie wóz reparowałem.

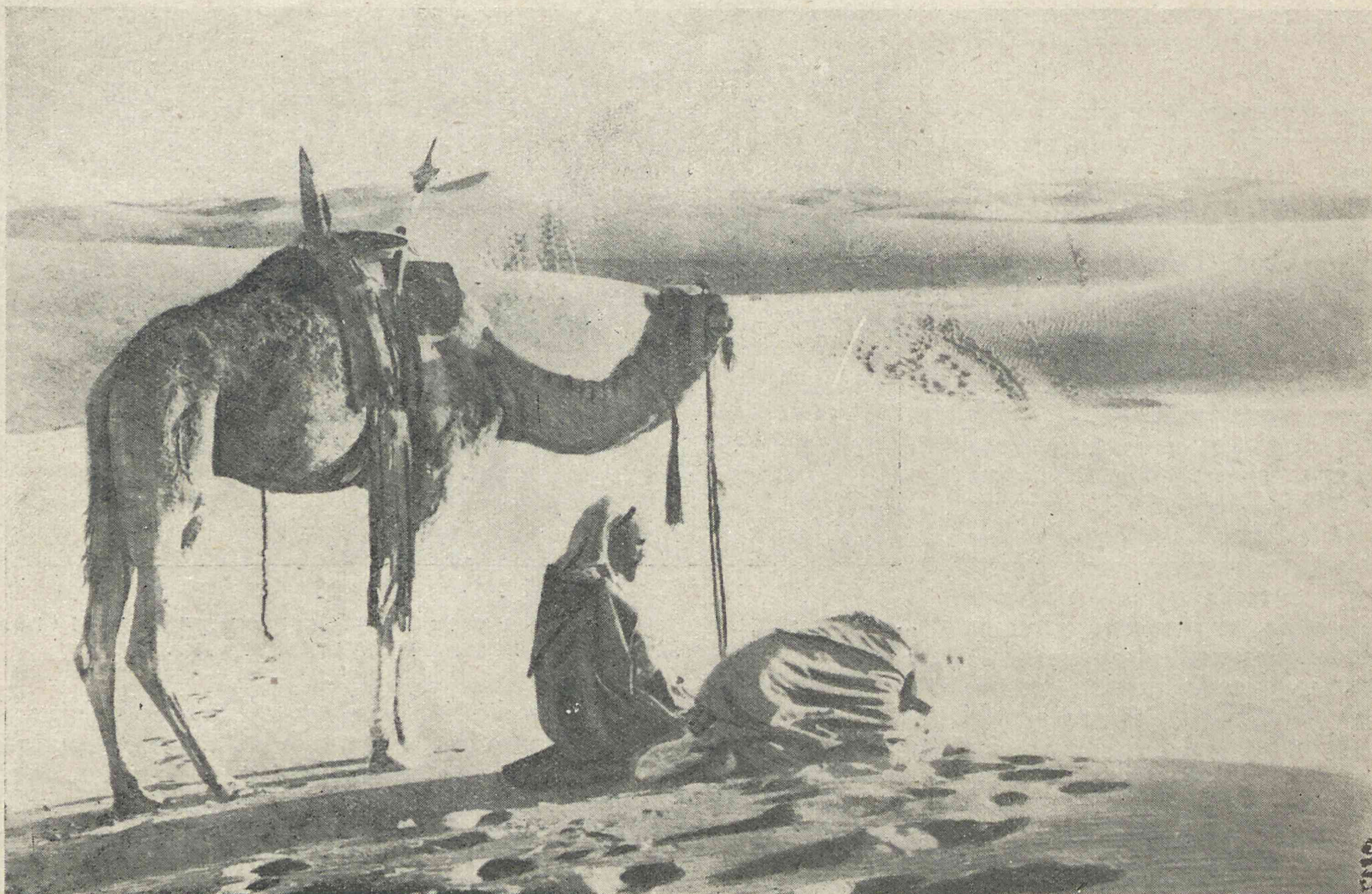
. . . .

Mając jeszcze parę godzin do zachodu słońca, poszedłem z jednym boyem na polowanie. Podszedłem dość blisko pod wiatr pasącego się dik-dika, którego zabiłem kulą. Jest to najmniejsza gazella, jaką w Afryce spotykałem; samiec i samica posiadają małe, czarne, dość szeroko na głowie rozstawione różki długości do 10 cm. Mięso dik-dika jest nadzwyczaj smaczne, przypomina najdelikatniejszą sarninę. Dalej spotkałem stadko pentarek, które nie zdradzały zbytniego zaniepokojenia na mój widok. Ze śrutówki zabiłem dwie sztuki.

Idąc dalej, spostrzegłem nisko nad trawami ciągnące się dymy. Była to wioska murzyńska. Wkrótce otoczyła mnie banda tuziemców, rosłych negrów plemienia Sari; język ich nazywa się „sango". Są to wojownicze szczepy, dzikie, próżniacze. Z owoców palmowych wyrabiają wino (malofu) i rzetelnie się niem spijają. Palenie haszyszu (betel) jest bardzo między tymi dzikusami rozpowszechnione. Mężczyźni o wybitnie etjopskim typie są rośli, skóra ich jest lśniąco czarna — włosy i ciało smarują olejem z palm, uszy mają od najmłodszych lat powycinane w długie wisiorki, niejednokrotnie sięgające aż ramion. W tak ponacinane uszy wtykają przeróżne przedmioty; niejednokrotnie są to puste pudełka od konserw, zwoje papieru, pęki piór, i t. p. Kobiety są wyjątkowo brzydkie, małe, z wielkiemi brzuchami, o płaskich wysuszonych piersiach, zwisających w kształcie papierowych torb do owoców. Za całe odzienie zarówno mężczyźni, jak i kobiety, noszą skóry zwierzęce, nieznośnie cuchnące. Uzbrojeni są w łuki i strzały, oraz każdy nosi długą, o szerokim grocie dzidę — sagaję.

Kiedy zobaczyli boy'ów, dźwigających dik-dika i pentarki, uznali, że jestem myśliwym i wymownie zapraszali mnie na polowanie, na migi dając do zrozumienia, że mają na myśli dużą zwierzynę, z wielkiemi rogami. Niezmiernie ucieszyłem się, gdy z grona tych dzikich wysunął się ogromnego wzrostu murzyn i przemówił łamaną francuszczyzną, kalecząc strasznie ten dźwięczny język. Jak się okazało, służył on podczas światowej wojny w wojskach kolonjalnych Francji, nazywał się Mumo i był niesłychanie arogancki. Wytłomaczył mi w paru słowach, że o ile mu dam „matabisz", t. j. łapówkę, to zaprowadzi mnie w okolicę obfitującą w zwierzynę: bawoły, antylopy, i hipopotamy. Obiecałem mu dać dużą ilość mięsa i — żeby go zjednać — ofiarowałem mu spory łyk bardzo silnego „Brandy", od którego aż mu się pysk wykrzywił. Wróciłem do obozu, umówiwszy się z Mumą na dzień następny na polowanie.

(D. c. n.). *Wojciech Marylski*



WŚRÓD PIASKÓW PUSTYNI WIELBŁĄD DOTYCHCZAS JEST NAJPEWNIEJSZYM I NAJWYGODNIEJSZYM ŚRODKIEM KOMUNIKACYJNYM. CZEKA ON SPOKOJNIE, GDY NABOŻNI BEDUINI ODDAJĄ SIĘ O ZACHODZIE SŁOŃCA DŁUGIM MODŁOM DO AŁŁAHA, ABY POZWOLIŁ IM RAZ JESZCZE ZA ŻYCIA UJRZEĆ MEKKĘ

Przekleństwo dobrego czynu

Po dwóch latach nie mógłbym dzisiaj odpowiedzieć na pytanie, czy onego, brzemiennego dla mnie w zdarzenia, dnia wstałem wcześnie czy też późno i czy to, co mi dnia tego Pan Bóg dał, było nagrodą za wczesne wstanie, czy karą za niepopełnione grzechy.

Wypadek był sam przez się błahy, lecz — jak to często w dziejach świata już bywało — pociągnął za sobą nieobliczalne skutki. Oczywiście dla mnie.

Wracając późnym wieczorem do domu tramwajem, znalazłem w wagonie portmonetkę. W wagonie nikogo więcej nie było, a konduktor ruchu mego nie zauważył.

Portmonetka była lekka; wywnioskowałem z tego, że dużo pieniędzy nie mogła zawierać. Już chciałem złożyć ją u konduktora, gdy, obmacawszy ją w kieszeni, wyczułem drobny, twardy przedmiot.

— Brylant — przemknęło mi przez głowę — mój Boże, tyle carskich brylantów rozsianych jest obecnie po świecie.

Jeszcze raz spojrzałem na konduktora i — rzecz dziwna — o ile przedtem wydawał mi się sympatycznym i wzbudzającym zaufanie, o tyle w tej chwili nie mógłbym o nim powiedzieć, że jest to człowiek, który nie połakomi się na carski brylant i zgubę zwróci prawemu właścicielowi.

Na przystanku wysiadłem i wolnym krokiem podreptałem ku domowi.

Ciekawość mnie paliła, ale użyłem wszystkich sił, żeby się opanować. Zdawałem sobie sprawę z trudności, z jakiemi związana jest sprzedaż drogocennego brylantu i że może w tym celu będę musiał wyjechać do Ameryki, gdzie miljarderzy nie są zbyt skrupulatni i nie pytają o pochodzenie precjozów. Wchodząc po schodach do swego mieszkania, niemal pewny byłem, że całą moją przyszłość i przyszłość mej rodziny, przyszłość zabezpieczoną i beztroską, dźwigam w kieszeni.

Zamknąłem się w pokoju i nie zrzucając płaszcza, otworzyłem portmonetkę: Banknot dwudziestozłotowy, pięciogroszówka... no i... małe zawiniątko w białej bibułce. Dygocącemi palcami rozwinąłem bibułkę i brzydko zakląłem. W bibułkę zawinięty był spróchniały ząb trzonowy.

W komisarjacie, gdzie złożyłem znalezioną zgubę, dyżurujący przodownik obejrzał pod światło banknot, poczem, zanotowawszy mój adres, wiek, zawód, imię i nazwisko, imiona rodziców, panieńskie nazwisko matki, numer linji tramwajowej, numer wagonu oraz dokładną godzinę, o której znalazłem portmonetkę, kazał mi podpisać protokuł, zapewnił, że gdy zajdzie potrzeba, to mnie wezwie i po niespełna dwuch godzinach zwolnił mnie.

Nazajutrz przywitano mnie w klubie ogólnem „aaa". Winszowano mi i zapewniano, że to w obecnych czasach ogólnego zepsucia i zmaterjalizowania rzadki wypadek, aby ktoś oddał znalezione pieniądze. Okazało się, że dziennik „Trąbka Poranna" wydostał z komisarjatu wiadomość o zwróconej portmonetce z pieniędzmi i uczynił ze mnie niemal bohatera dnia i wzór godny naśladowania. Cała wiadomość podana była pod tytułem: „Są jeszcze na świecie uczciwi ludzie", nie wymieniała dokładnie znalezionej kwoty, ale za to ściśle i dokładnie podany był mój adres, imię i nazwisko, zawód i wiek, który zazwyczaj staram się ukrywać. Bo co komu do tego, czy ja mam dopiero 30 lat, czy już 50?

Następnego dnia wyszedłem rano na miasto, lecz po godzinie już wróciłem do domu, nie mogąc opędzić się powinszowa-

W SŁUŻBIE U CZŁOWIEKA

WSPÓŁCZESNE INDJE NIE UŻYWAJĄ TRAKTORÓW ANI INNYCH MECHANICZNYCH ŚRODKÓW PRZY TRANSPORTOWANIU CIĘŻARÓW. ROBI TO DOSKONALE SŁOŃ, KTÓRY DŹWIGA OLBRZYMIE BALE BEZ PROTESTU I BEZ TRUDU, UTRZYMUJĄC ZE ZRĘCZNOŚCIĄ AKROBATY RÓWNOWAGĘ PRZY PRZENOSZENIU DŁUGICH NA KILKANAŚCIE METRÓW SŁUPÓW

niom i pytaniom. Wytykano mnię wszędzie palcami, oglądano się za mną na ulicy, a pewien zupełnie mi nieznany jegomość, pokazując mnie dzieciom, na cały głos ryczał: — Patrzcie, dzieci, to jest ten pan, co zwrócił znalezione pieniądze.

Zamknąłem się na tydzień w domu i wyłączyłem telefon.

Po miesiącu otrzymałem wezwanie z komisarjatu.

— To pan znalazł w tramwaju portmonetkę?

— Tak jest, panie przodowniku.

— Bo widzi pan, zgłasza się tu jakaś pani, która zgubiła w tramwaju portmonetkę, szczegóły, jakie podaje, zgadzają się co do joty. I wygląd portmonetki i ząb, który pono jest pamiątką po jej nieboszczyku pierwszym mężu, tylko utrzymuje, że w portmonetce było nie 20 zł. 05 groszy, lecz 21 zł. 05 groszy. Czy pan nie zatrzymał złotówki?

Zapewniłem, że oddałem wszystko co do grosza, znowu podpisałem protokuł i byłem wolny.

Minęło znowu z pół roku. Już zapomniałem o portmonetce i ludzie przestali mnie wytykać palcami, jako uczciwca, gdy znowu wezwano mnie na policję.

Tym razem do portmonetki pretenduje jakiś obywatel ziemski, który w owym czasie bawił w Warszawie, ale powiada, że w portmonetce było 1020 zł. i 05 groszy.

— A ząb? — pytam. — Ząb zgadza się?

— Zgadza się, tylko twierdzi, że nie trzonowy, a kieł — wyjaśnia przodownik.



Znowu podpisałem protokuł, stwierdzając, że w znalezionej przezemnie portmonetce było wszystkiego 20 zł. 05 groszy.

Przed miesiącem wezwano mnie do urzędu skarbowego.

Stawiłem się.

— Czy to pańskie zeznanie o dochodzie?

— Czy wszystkie dochody pan podał?

— Wszystkie.

— A gdzie są pieniądze, które pan znalazł w tramwaju?

*

Gdy otworzyłem oczy, stwierdziłem, że leżę w łóżku i że na głowie dźwigam pęcherz z lodem. Podobno przeszedłem ciężkie zapalenie opon mózgowych z komplikacjami.

Lekarz zapewnia, że nic mi nie grozi. To samo mówi adwokat, dodaje jednak, że jeżeli mogę wyjechać do Ameryki (jak to początkowo zamierzałem), toby mi to dobrze zrobiło.

Trzeba jechać, chociaż bez brylantu będzie trudniej. Ale niech mi się teraz nadarzy portmonetka! Już jej oko ludzkie nie obejrzy.

Termidor.

Świat książki

Juljusz Kaden-Bandrowski.

„Mateusz Bigda"

Z pod „czarnych skrzydeł" dymów Zagłębia, z podziemi kopalnianych nędzy i konspiracji wyprowadza Kaden bohaterów Tadeusza i Zuzannę na szeroki teren stolicy. Pierwszy tom jego nowej trylogji ogarnia swym tematem kulisy polityczne, daje obraz splątanej, zawziętej i podstępnej gry o władzę i pieniądz. Już nie małe pionki politycznych posunięć, zgłodniali i czarni robotnicy, ale czołowe figury stronnictw ujadają się tu i targują, sprzymierzają i oszukują w kuluarach sejmu i w klubach, na posadzkach hotelowych, bankowych i pałacowych.

Spuścizna po dyrektorze Kostryniu, krew i pot górników z Zagłębia, przemienione w dolary, majątek Zuzanny Kostryniówny — jest owym łakomym kęsem, po który wyciągają się ręce zarówno konserwatystów, jak i socjalistów. Synowie leadera Mieniewskiego są owym kapitałem siły i energji życiowej, który idzie na służbę u ordynata, lub chytrych bogacących się chłopów.

Wątek miłosny powieści Kadena, której naczelnemi postaciami są Tadeusz Mieniewski i Zuzanna Kostryniówna, znajduje się w tym tomie zaledwie w stadjum początkowem. To dopiero tło społeczne i polityczne, podmalowany obraz stosunków, satyra na współczesność, pierwsze czające się do skoku poruszenia politycznych współzawodników. Mimo to nastrój spotęgowany jest przez autora od pierwszej stronicy; słowa tak krzyczą, nerwy tak dygoczą, barok zdań spiętrza się w tak zawiłe i naprężone sytuacje, że czytelnik czuje się ogłuszony i strwożony złowrogą kompozycją literacką zagadnień, postaci i działań.



JULJUSZ KADEN-BANDROWSKI

Ta ponura walka o stanowiska i bogactwa, którą odtwarza autor, pozbawiona jest wprawdzie straszliwych atrybutów nędzy i chamstwa, jakie panowały na kartach „Czarnych Skrzydeł", ale nie stała się przez to ani trochę mniej brutalna i ohydna. Kaden z siłą i tendencją, właściwą swemu talentowi, robi z polityków i dyplomatów współczesności potworne indywidua, których uprzejme pozornie wymiany zdań przypominają walkę Bigdy z wyjącym psem na sali sejmowej.

— Dobrze, że jest bydlę w człowieku — mówi Tadeusz Mieniewski. — Szacowna rzecz to bydlę, a nie ów deklamator z łonem rozdartem. Bydlę wie, czego chce — dokładnie!

Michał Choromański.

„Zazdrość i Medycyna"

Atmosferę tej niezwykłej, niepokojącej książki tworzy halny, ciepły wiatr, rwący tok zdań i zagłuszający ludzkie słowa swym łomotem szpitalny zapach jodoformu i aura męskiej erotycznej histerji. Tematem jej jest tragiczne przeciwstawienie miłości i śmierci, choroby uczuciowej i choroby fizycznej, zawikłanej, zżeranej przez zazdrość, pełnej urojeń dziedziny erotyki i surowego świata szpitalnego, gdzie między jednym a drugim precyzyjnym ruchem lanceta chirurgicznego czai się śmierć, a sygnałem nieszczęścia jest trąbka karetki pogotowia.

Bohaterami powieści są dwaj współzawodniczący kochankowie: stary zazdrosny mąż Widmar i chirurg Tamten, a pozatem wplątane w tragiczny przebieg wypadków osoby poboczne, jak Zofja Dubilanka, umierająca na gruźlicę nerek w szpitalu, lekarze, posługacz Paweł, elektrotechnik lub wreszcie najważniejszy z nich — koszmarny malutki krawiec Gold, który, zamknąwszy w swej odrażającej osobie rozwiązanie zagadki i potwierdzenie zdrady, umiera, nie wyjawiwszy nic, zawikłany między przewody elektryczne.

Bohaterką powieści jest przedewszystkiem kobieta — Rebeka — centralny ośrodek tragicznego zawikłania miłosnego, osoba emanująca z siebie odurzającą atmosferę erotyzmu i najzupełniej nierealna, materjalizująca się jedynie we wrażeniach i odczuciach swych kochanków.

Ta kobieta, umiejąca wyzwalać z otaczających ją mężczyzn gwałtowne napięcia rozkoszy i cierpienia, sprawczyni obłędnych bólów zazdrości oraz śmierci ludzkiej, ukazana nam została tylko przez wrażenia i relacje innych ludzi. Szarpany wiatrem, spleciony z wielu głosów, wątków, zgarniętych z czasu i przestrzeni, tok opowiadania ogarnia jej osobę z wielu stron, jak tajemniczą komórkę, groźną przyczynę choroby i perforacji.



MICHAŁ CHOROMAŃSKI

Jątrzącej atmosferze namiętności miłosnej i pogardy do tej kobiety przeciwstawia autor po mistrzowsku powagę i tragizm lekarskiego obowiązku, oddanego w służbę prawdziwego śmiertelnego cierpienia.

Ciekawa konstrukcja powieści, która w początkową i końcową scenę: zgaśnięcia światła w miasteczku i śmierci krawca Golda, zamyka jak w klamrę olbrzymi materjał zdarzeń poprzednich, przyczyn i nawiązań w relacjach, wspomnieniach i pamiętnikach, odpowiada sposobowi narracji poszarpanemu i nerwowemu, jak nieustannie wyjący wiatr. Słowo ma w tej powieści bujną i nieoczekiwaną często świeżość i siłę nowego, odniedawna obrabianego materjału, obrazy są bryłowate i kolorowe, ludzie szarpani namiętnościami kręcą się w ukropie powikłanych zdarzeń.

Nowa powieść Choromańskiego jest tematem do zachwytów i do oburzeń, do sprzeciwów i do afirmacji. To pewna, że stanowiąc ogromny krok naprzód w rozwoju twórczym tego wybitnego pisarza, staje się ona jednocześnie ewenementem literackim chwili.

H. M.

MAURICE LEVEL

MODNA RESTAURACJA

(NOWELA)

Kiedy Mikołaj Fressure skończył lat dwadzieścia, ojciec przemówił doń w ten sposób:

— Mój synu, doszedłeś do wieku, kiedy mężczyzna musi sobie obrać zawód. Kiedyś będziesz mi wdzięczny, że nie obciążyłem ci mózgu tym niepotrzebnym bagażem, którym zapycha się głowy dzisiejszej młodzieży. W tej chwili jest najważniejsze, żebyś znał moją sytuację finansową. Nie wiesz nic, że...

— Owszem, wiem — przerwał łagodnie syn.

— Wiesz, że jestem miljonerem?... To ciekawe. Dowodzi to pewnej spostrzegawczości, która mnie zarazem raduje i martwi. Teraz zapewne zapytasz, w jaki sposób zdobyłem tak znaczny majątek...

Mikołaj zaprotestował poraz drugi.

— Czy to znaczy, że wystarcza ci wiadomość, iż jestem bogaty, a sposób dojścia do majątku mało cię obchodzi?... Czyżbyś był już tak życiowo mądry?

Mikołaj zarumienił się i szepnął:

— Tak sądzę.

— A więc, mój chłopcze, chcę wiedzieć, jaki zawód obierzesz, aby móc dać ci kilka rad, których napewno nie usłuchasz, ale ja, wypowiedziawszy je, będę czuł, że spełniłem obowiązek względem ciebie. A więc, jakiż zawód cię pociąga?

— Ojcze, chcę być kucharzem.

Pascal Fressure podskoczył na fotelu, a Mikołaj ciągnął dalej:

— Jeśli biorę pod uwagę mój wygląd zewnętrzny, zdaję sobie sprawę, że ten zawód odpowiada mi w zupełności. Jestem okrągły, rumiany, ręce mam duże, paznogcie krótkie i palce zaokrąglone, któremi się ugniata, kruszy, pieprzy idealnie. Mój węch jest tak wyćwiczony, że o kilometr czuję zapach smażonych kotletów albo kruszejącej za oknem zwierzyny. Moja mina dodaje apetytu. Wyglądam, jakbym był naszpikowany słoninką.

— Widzę, żeś dużo obserwował...

— Owszem. To też przekonałem się, że kuchnia to nietylko zawód, to sztuka. Sztuka znana starożytnym, a przez nas zapomniana. Czyś zastanawiał się kiedy, ojcze, nad turbotami podawanemi Djoklecjanowi, nad słowiczemi języczkami?

— Synu — westchnął Pascal — czyżbyś był poetą?

— Bynajmniej. Obmyśliłem tysiąc przepisów, jeden smaczniejszy od drugiego, a w dniu, w którym będzie mi wolno zrealizować moje formułki, zrewolucjonizuję świat.

— Marzycielu! Kto teraz myśli o dobrem jadle? Kto ma na to czas? Ostatni znawca umarł już dawno.

— A jeśli uda mi się wskrzesić sztukę kulinarną?

— Bogaci ludzie mało interesują się kuchnią. Weź mnie, czy ja kiedy zważam na to, co jem?

Mikołaj odpowiedział z mocą:

— Chcę być kucharzem!

— Zgoda. Terminuj przez rok, a wtedy pogadamy o tem na nowo.

— Nie potrzebuję już terminować.

Fressure-ojciec zaczął się śmiać i zawołał:

— Chciałbym widzieć obiad przez ciebie ugotowany.

— Nie śmiałem ci proponować, ojcze, ale jeśli się zgodzisz, będę szczęśliwy ukazać ci swoje talenty. Czy pozwolisz przyrządzić sobie dzisiejszy obiad?

— Z przyjemnością. Lecz obawiam się, że lichy ze mnie stołownik; przy największym wysiłku nie skłonisz mnie do spożycia czegoś więcej od zwykłego mego sznycla.

Mikołaj skłonił się i wyszedł.

Przez dzień cały nikt go nie widział w mieszkaniu, zato w kuchni panował ruch i gwar niezwykły. Przynoszono zwierzynę, młode jarzyny, owoce. Mikołaj spokojny, poważny, unosił pokrywy, rzucał szczypty kombinowanych korzeni, przewracał potrawy, przyrządzał sosy. Najdrobniejsze jego gesty miały jakąś tajemniczą cechę; milczał i wśród rondli i patelni przypominał wodza na czele armji. O ósmej zdjął fartuch, białą kurtkę, czapkę i rzucił rozkaz:

— Podawać.

Znalazłszy się w stołowym pokoju, rzekł:

— Gotowe, ojcze.

— Fatalnie się złożyło — odparł ojciec — nie mam wcale apetytu.

— Apetyt się znajdzie przy moich potrawach. Podaj zupę — zwrócił się do służącego.

— Oho — szepnął Pascal — pachnie bardzo apetycznie. Opróżniwszy talerz, dodał: — Wyśmienita, proszę o drugi talerz. Co to jest?

— Zupa z raków i krewetek mojego wynalazku... Podawaj dalej.

Kiedy ojciec zjadł trzy porcje drugiego dania, Mikołaj uśmiechnął się.

— Zdawało mi się, że ojciec nie jest głodny. Możnaby na tem skończyć.

— Co znowu. Dawaj dalszy ciąg. Wszystko jest przepyszne.

— Jak sobie ojciec życzy.

Obiad trwał długo. Pascal jadł każdą potrawę po parę razy i pił dużo. Trunki początkowo rozwiązujące mu język w połączeniu z pochłanianiem niezliczonych dań obciążyły mu mózg. O jedenastej



... *przypominał wodza na czele armji*

trzeba było go położyć, jak małe dziecko. Mikołaj myślał: — Co za zwycięstwo! — i zasnął.

W nocy obudzono go. Ojciec zasłabł. Posłano po lekarza. Ten rzekł do syna ze współczuciem:

— Niestety! Wszystko skończone. Ojciec pański umarł z niestrawności.

Mikołaj spuścił głowę i rzekł ze smutkiem:

— Obawiałem się tego.

Po żałobie postanowił zrealizować marzenie młodości i stworzył idealną restaurację, przybytek prawdziwej sztuki.

Od kilku miesięcy cały Paryż na to czekał. Wraz z wybiciem ósmej godziny arystokracja, finansjera, wszyscy ci, którzy coś znaczą, o których mówią, przesunęli się przez salony restauracyjne. W kuchniach, obszernych jak laboratorja, Mikołaj doglądał dań, baczny na wszystko. Co minutę kelnerzy musieli składać mu sprawozdanie z tego, co się działo na salach. Tłok był szalony, tryumf bezprzykładny.

— Książę X... i księżna nie mają gdzie usiąść. Czekają na schodach.

— Dobrze... Jakież wywołał wrażenie mus z drozdów z rodzynkami Chios?

— Marszałek dworu angielskiego ulokował się w kredensie.

— Dobrze idzie. Cóż mówią na ostrygi à la crème de varech? Smakują im?

— Prezes senatu nie chce wyjść z windy!...

— A cóż mnie to do licha obchodzi? Czy poznają się na tych cudach, które im podaję?

— Płacą, nie protestując.

— Jesteście wszyscy bałwany — zakrzyknął Mikołaj. — Idę sam zobaczyć.

W tej chwili ukazała się służba, odnosząca półmiski.

— Stój! — krzyknął pan i zaczął oglądać dania. Były nietknięte, albo zaledwie ruszone. Zbladł. Czyżby sosy się zwarzyły? Skosztował. Były doskonałe. Pomyślał: — Może tego nie lubią? Ale dalszy ciąg?...

Dalszy ciąg półmisków wrócił prawie nietknięty...

Ścisnął sobie skronie. Skurcz przestrachu zajął miejsce uśmiechu tryumfu. Jednak aż do deseru nie stracił nadziei. Ku końcowi zapytał:

— Czy... czy przynajmniej dobrze się bawią?

— Nie... Rozmawiają...

Kiedy ostatni gość wyszedł, poszedł na salę. Po drodze myślał:

— Nie jedli, to choć pili!

Niestety, butelki, wznoszące smukłe szyjki na stołach i zanurzone w srebrnych wiaderkach, były zaledwie napoczęte. Tylko Vichy, Vittel, Perier, a nawet straszny Hunyadi Janos zostały wypróżnione. Na drugi dzień rzucił się na dzienniki. Pisano o otwarciu jego salonów, wymieniano biesiadujących, lecz ani słowa o tem, co było do jedzenia. Cisnął je na ziemię z gniewem.

Dawał do prasy notatki, wychwalające jadłospisy. Nikt nie zwracał na nie uwagi. Mruczał: — Dzicz! Chamy!

Walczył. Ktoś mu powiedział:

— Panie Fressure, pan źle się reklamujesz. Mów o swoich salonach, meblach, klientach, ale nie mów o tem, co się je. Jeśli jednak chcesz już koniecznie, to ogłaszaj, że masz w swoich kuchniach specjalistów lekarzy, czuwających nad ścisłem wypełnianiem przepisów kuchni dyetetycznej, pisz pan o witaminach, kalorjach, mów, że umawiasz się z ogrodnikami, aby dla pana polewali warzywa wodą gotowaną i filtrowaną...

Mikołaj zerwał się z miejsca:

— Nigdy, słyszy pan, nigdy. Jestem artystą, a nie handlarzem. Jeśli od dziesięciu lat piekę się nad płytą kuchenną, aby odnowić sztukę, która uczyniła mój kraj sławnym, to nie poto, żeby wchodzić w układy z garstką idjotów czy snobów. Zwyciężę! Codzień będę miał sto wierszy w waszym dzienniku i poświęcę je moim przepisom i jadłospisom. Niech sobie kosztuje co chce, ja to przetrwam. A ludziom, skazanym na specjalne dyety, może pan powiedzieć odemnie, żeby chodzili gdzieindziej na swoje zupki i kotleciki...

Mijały dni i miesiące. Restauracja powoli przestawała być modna, stoliki, o które ongiś dobijano się, pozostawały puste. Rzadcy goście przychodzili na obiad późno i szybko wychodzili. Mimo to pan Fressure w kuchni kombinował i robił codzień nowe wynalazki. Nigdy jeszcze genjusz jego nie był taki płodny, lecz wszystko szło na marne. Zwierzyna gniła w spiżarniach, przyprawy spoczywały w kryształowych słojach. Kuchciki kręcili się nawpół śpiący, interes zamierał. Pan Fressure pozostawał niewzruszony. Nadszedł dzień, w którym nie zjawił się ani jeden gość. Majątek jego zachwiał się. Jego pełnomocnik ostrzegł go, że napoczyna ostatni miljon. Wzruszył tylko ramionami.

Podwoił lampy elektryczne na fasadzie, pomnożył komunikaty. Razu pewnego przybyli goście z prowincji i jedli wszystkie dania. Z radości omal nie tknęła go apopleksja. Kiedy jednak podano im rachunek, przewyższający 300 franków, ofiarowali się zapłacić 4 franki od osoby, co wyniosło razem 28 franków. Pan Fressure był tak szczęśliwy, że wreszcie ktoś u niego jadł, że zgodził się na ich żądanie. Nazajutrz była kompletna pustka. Czując zbliżającą się klęskę, ponury, zagryzał palce:

— Że coś podobnego mnie się przytrafiło! Mnie, który mając lat dwadzieścia, zabiłem nazbyt smacznemi potrawami rodzonego ojca!

Pewnego ranka przybył jego adwokat:

— Panie Fressure, pan ma już tylko trzy tysiące franków. Uważałem za swój obowiązek pana ostrzec.

— Dobry z pana człowiek — odpowiedział Mikołaj, uśmiechając się — lecz oto pokażę panu, że miałem rację, upierając się — i wyjął depeszę: „Przygotować obiad trzydzieści osób. Cenę oznaczyć samemu". Od jutra zacznie się mój rewanż. Posłałem projekt menu pod podanym adresem. Powinienem go lada chwila otrzymać z powrotem, zaaprobowany. Czekam... Oto jest — zakrzyknął tryumfalnie, wyrywając z ręki posłańca papier. Nagle zbladł straszliwie. Bezlitosne pióro przekreśliło wszystkie dania, ułożone z takiem znawstwem. Uniknęła masakry tylko filiżanka ziółek, a u samego dołu widniał dopisek:

„Ani mięsa, ani jaj. Przetarte jarzynki i kluseczki. Wody mineralne i rumianek".

Pan Fressure miał jeszcze tyle siły, aby wyjąknąć: — Zostaw mnie pan samego!

I zszedł do kuchni. Rozpalone piece czekały na swój łup.

— Zgaście wszystko — rzekł. — Niech się tylko gaz pali. Kupić makaronu, wermiszelu, kluseczek, muszelek; przecierajcie jarzyny. Niech będzie dużo gotującej wody. Zatelefonujcie po wody mineralne. No, do roboty.

Sam wyszedł. Był czerwony, a oczy wystąpiły mu na wierzch. Kiedy powrócił, okrutny a dziwny uśmiech gościł na jego twarzy. Zajrzał do kuchni. Ósma wybiła. Patrzył na przybywających gości. Wchodzili eleganccy, wytworni, zimni, kobiety uśmiechnięte, przybrane perłami, panowie w białych krawatach, wygorsowani. Kiedy wszyscy się zebrali, kazał podawać.



Goście wchodzili eleganccy, wytworni, zimni...

Żaden muskuł mu nie drgnął, gdy patrzał na wynoszone z kuchni dania ckliwe i bez smaku. Wedle zwyczaju, kuchcik podał mu łyżkę jakiegoś purée do skosztowania. Uśmiechnął się zagadkowo, łyżkę odsunął.

Dziesiąta wybiła. Poszedł na górę. W wielkiej, rzęsiście oświetlonej sali kończył się obiad. Zawołał:

— Dobrego apetytu, panowie.

Zdziwieni goście odwrócili się.

— Ach, wolicie państwo te obrzydliwości, niż nasze potrawy, co? — i chwyciwszy ze stołu kieliszek, cisnął go w lustro. — A teraz powiem państwu, że jesteście wszyscy otruci!

Kobiety zaczęły mdleć, niektórzy mężczyźni również. Pan Fressure rzucił się ku drzwiom. Jeden z gości schwycił go za gardło i krzyknął: — Czem nas otrułeś, nędzniku?

— Cjankiem potasu, który kupiłem dwie godziny temu, w aptece magistra Trou — śmiał się szyderczo Fressure.

— Tylko tem? Nic innego nie dodałeś?

— Czy to nie dosyć? — wyjąknął Fressure, chwytając oddech.

— W takim razie jestem zupełnie spokojny. Ja jestem magister Trou. Nie było mnie w aptece dzień cały, a kiedy wychodzę, nie jestem taki głupi, żeby zostawiać klucze od szafy z truciznami moim laborantom. Szanowne panie, bądźcie zupełnie spokojne... Zjedliśmy doskonały obiad z dodatkiem dwuwęglanu sody gratis.

Pan Fressure dzwonił zębami i bełkotał:

— Wybaczcie państwo... wybaczcie.

Po otarciu się tak blisko o zbrodnię, wielki strach go chwycił. Płakał ze smutku, wstydu i wyrzutów sumienia, ale też i z głodu. Poraz pierwszy w życiu nie miał nic w ustach dzień cały. Nieraz, kiedy nie miał apetytu, pożywiał się, kosztując sosy, lecz dziś nic, nic... Litościwy gość, sądząc, że to jakiś napad chwilowego obłędu, zapytał go, czy nie życzy sobie czego. Odszepnął: — jestem głodny! Nałożono mu na talerz lanych kluseczek.

Popatrzał na nie z niesmakiem i zmusił się do śmiechu:

— Kluseczki dla mnie, to jakby jajko na miękko dla wilka.

Z bohaterską uprzejmością przełknął łyżkę. W tej samej chwili odsunął talerz, zbladł. Głowa mu opadła, osunął się na ziemię z cichem westchnieniem.

Mikołaj Fressure nie został otruty, lecz umarł po przełknięciu jednego łyka z kuchni dyetetycznej.

„PIERWSZA SZTUKA FANNY" W TEATRZE NARODOWYM



„Złociutka Dorcia" (Malicka) przynosi rodzicom swego przyjaciela (Czaplińska i Łapiński) wiadomości o nim... z więzienia.

Tryumf Shaw'a

Wystawienie „Pierwszej sztuki Fanny" na scenie Teatru Narodowego przyjęte zostało z rzadko notowanym entuzjazmem zarówno przez krytykę, jak przez publiczność.

Czas, który „nawet żelazo kruszy" — nie skruszył komedji Shaw'a po latach 22. Utwór trochę *zantyczniał,* jak powiada Boy-Żeleński, ale — *przyjemnie.* Według Karola Irzykowskiego są w „Pierwszej sztuce Fanny" „walory niestarzejące się: ogromna żywość akcji, dowcip, humor, rozmach agresywny..." P. W. Syruczek w „Expressie" idzie jeszcze dalej i sądzi, że komedje Shaw'a „będą jeszcze na długo sukniami na wyrost dla naszych dusz..." A „Pierwsza sztuka Fanny" „może być jeszcze doskonałym pręgierzem dla naszych stosunków rodzinnych i społecznych..." W(acław) F(ilochowski) w „Gaz. Warszawskiej" oświadcza entuzjastycznie: „W teatrze zapomniałem, że sprowadził

Energiczna panienka (Lubieńska) bije niegrzecznego kolegę i niedoszłego narzeczonego (Michalak).

Fot. Jan Malarski

Kokotka Dorcia (Malicka) w poufałej rozmowie z lokajem - gentelmanem (Junosza - Stępowski).

mnie obowiązek: trzy godziny spędziłem jako widz, tylko jako widz, oczarowany, rozbawiony..."

Rzecz oczywista, nie byłoby tego tryumfu autora bez — walnego zwycięstwa teatru.

Wincenty Rzymowski w „Kur. Porannym", czyniąc zastrzeżenia co do aktualności problemów Shawa, pisze jednakże, że *„wykonanie tej wesołej sztuki angielskiej było jednolitem pasmem tryumfów sztuki aktorskiej.* Junosza-Stępowski pokazał nam, czem może być lokaj, noszący na tacy dyplom olimpijczyka. Marja Malicka i Karolina Lubieńska rywalizowały między sobą, jako dwie znakomite rzeźbiarki gestu i słowa... Zofja Czaplińska nie grała, ale promieniowała humorem: gdy wchodziła na scenę, zdawało się, że wraca właśnie z poufnej herbatki, na której mile gawędziła z Shaw'em o tych rzadkich boskich chwilach, jakie *przeżywa prawdziwy aktor, gdy spotka się z prawdziwym poetą"*.

Grzymała - Siedlecki, który widział „Fanny" na scenie angielskiej, jest zdania „że nie miało ono ani w przybliżeniu tak przerozkosznej mamy Gilbey, jaką była p. Czaplińska, ani *takiego pieścidełka gry*, jakie dała p. Malicka w roli Dory".

A Stanisław Piasecki — zazwyczaj bardzo wymagający — wręcz oświadcza na łamach „A B C", że: „przedstawienie „Pierwszej sztuki Fanny", *znakomicie wyreżyserowane przez Borowskiego, jest jednem z najlepszych przedstawień, jakie widzieliśmy na warszawskich scenach w ostatnich miesiącach.* Recenzent oddaje dalej wielkie pochwały Malickiej, że grała rolę kokotki „przepysznie", a o innych wykonawcach pisze: „Junosza-Stępowski, Orwid, Socha, Wroński, Czaplińska, Lubieńska, no i wogóle wszyscy świetni, świetni i jeszcze raz świetni..."

Pod słowami entuzjazmu krytyki podpisuje się bez zastrzeżeń cała publiczność stołeczna i od dnia premjery zapełnia po brzegi widownię Teatru Narodowego. Stosując się do rady jednego z krytyków „siedzi w skupieniu, zachwyca się i aprobuje". Aprobuje — gorącemi, entuzjastycznemi oklaskami, jakich dawno nie słyszały mury tego teatru...

Po tryumfie Wyspiańskiego nowy tryumf w Teatrze Narodowym — Shaw'a.

Z podziemi na pierwsze piętro

Głośna w stolicy, a dzięki objazdom „Reduty" znana i w wielu miastach Rzplitej — bojowa sztuka „kobieca" pani Marji Morozowicz - Szczepkowskiej „Sprawa Moniki" ukaże się kilkakrotnie na publicznych przedstawieniach. Dotychczas grano tę równie sensacyjną, jak wartościową sztukę zgórą 200 razy w Warszawie, ale w lokalu prywatnym Instytutu Reduty w podziemiach Gmachu Ubezpieczeń na Sewerynowie. By móc być obecnym na takim „pokazie" (tak się nazywają przedstawienia dawane w Instytucie), trzeba było wpierw wystarać się o zaproszenie. Nie było to połączone ze zbyt wielkiemi trudnościami, ale prawdopodobnie bardzo wiele osób w Warszawie z pośród interesujących się teatrem i literaturą dramatyczną zaproszenia takiego nie otrzymało, bądź o sposobie, w jaki można było je otrzymać, nie wiedziało. W tej chwili Instytut robi „pokazy" innej sztuki. Te względy skłoniły dyrekcję Teatru Narodowego i Nowego do udzielenia grupie redutowej, grającej „Monikę", gościny na przeciąg ośmiu do dziesięciu wieczorów na scenie teatru w Salach Redutowych.

W ten sposób po świetnej, rocznej karjerze podziemnej „Sprawa" pani Morozowicz-Szczepkowskiej wydostanie się z podziemi na pierwsze piętro oficjalnego teatru. Będzie to zasłużone ukoronowanie niezwykłej karjery tej wysoce interesującej sztuki.

Przedstawienia „Moniki" rozpoczną się w Teatrze Nowym w sobotę, 14 b. m.

W kilku wierszach

Jubileusz Zygmunta Kaweckiego w Krakowie. Miejski teatr im. Słowackiego w Krakowie wystawia w najbliższym czasie słynną przed laty 30-tu komedję Zygmunta Kaweckiego *Dramat Kaliny,* — jedno z największych powodzeń komedjowych na scenach polskich za ostatnich lat kilkadziesiąt. Widowisko premjerowe będzie jednocześnie jubileuszem 30-letniej działalności pisarskiej utalentowanego autora, który „Dramatem Kaliny" zadebjutował w r. 1902-im na scenie lwowskiej.

*

Nowa sztuka Grubińskiego. Po kilkuletniem milczeniu dla sceny Wacław Grubiński napisał 3-aktową komedję i złożył ją dyrekcji b. teatrów miejskich. Tytuł nowej sztuki świetnego pisarza nie został jeszcze ustalony.

*

Lorentowicz z powrotem krytykiem teatralnym. — Dyrektor Jan Lorentowicz po ustąpieniu ze stanowiska kierownika artystyczno-literackiego Teatru Artystów na Karowej wrócił do przerwanej pracy publicystyczno-literackiej i w dniach najbliższych obejmuje z powrotem dział krytyki teatralnej w „Dniu Polskim", będącym warszawskiem wydaniem krakowskiego „Czasu".

*

Nowy teatr w Warszawie. Nazywa się „Teatr Słowiański". Mieści się w specjalnie urządzonym lokalu przy ul. Hipotecznej 8. Na inauguracji teatru w dn. 5 b. m. grono młodych artystów dramatycznych odegrało pod reżyserją p. Jarosława Micińskiego nigdzie niegrane 4-aktowe „misterjum" Radosława Krajewskiego p. t. „Wódz". Dotychczas odbyło się kilka przedstawień „Wodza". Salka, mogąca pomieścić około 300 osób, była podobno za każdym razem szczelnie zapełniona.

Humor teatralny

PRZY WYJŚCIU Z „PIERWSZEJ SZTUKI FANNY"

— A ja, wie pani, myślę, że nietylko prolog i epilog, ale i tę całą sztukę Fanny we środku — także pisał Shaw... Jak pani myśli?...

. . . .

— To wszystko jest typowy shaw'inizm.
— Szowinizm?
— Junosza-Stępowski lokajem, Malicka kokotą, a Lubieńska potrafi wybić dwa zęby angielskiemu policjantowi! Zbyt piękne, aby było prawdziwe...

DRUGA SZTUKA FANNY...

Przed afiszem „Pierwszej sztuki Fanny" w Narodowym staje dwóch panów.
— Ja to już widziałem niedawno — powiada jeden. — To grali w lipcu w Narodowym.
— Mylisz się. Tamta sztuka nazywała się poprostu: „Fanny". I napisał ją francuz Pagnol, a to jest sztuka anglika Shaw'a.
— Możebne, ale ja mam rację, że była już taka sztuka „Fanny" w Narodowym.
— I cóż z tego!
— To, że Teatr Narodowy nie powinien wprowadzać ludzi w błąd, lecz napisać wyraźnie na afiszu: „Druga sztuka Fanny".

MELOMAN Z PROWINCJI

Pan Józefat przyjechał na parę dni z prowincji. Pyta kuzynów, do jakiego ma pójść teatru?
— Ma się rozumieć na „Pierwszą sztukę Fanny".
— Pierwsza sztuka, powiadacie?
— Tak! Tylko na „Pierwszą sztukę Fanny!" Nie byliśmy jeszcze, ale wszyscy chwalą. I krytyki świetne!
Ale pomylili się w adresie, każąc kuzynowi iść — do Teatru Nowego. W godzinę dopiero spostrzegli omyłkę. Już było zapóźno...
Zaniepokojeni czekali na powrót kuzyna.
— Byłeś w teatrze?
— Byłem.
— Gdzie?
— W Nowym, tak jak radziliście.
— Co grali?
— „Wszystko dla bliźnich".
— No... i jaka to sztuka?
— Wiecie, jak na *pierwszą sztukę* Fanny — wcale niezła...

Berlin śpiewa i tańczy...

Migawka aktualna.

„Nie chce się być pysznym, ale taki wyczyn sceniczny (eine grosse Bühnenleistung) możliwy jest dziś tylko w Berlinie"...

Te słowa napisał po ostatniej premjerze w „Dentsches Theater" najznakomitszy krytyk berliński Alfred Kerr. Należałoby mniemać, że w repertuarze teatrów Berlina króluje dramat i wielka sztuka, jak to było jeszcze kilka lat temu...

A tymczasem, dokładny przegląd afiszów berlińskich z ostatniego tygodnia mówi coś wręcz przeciwnego. Teatrów w tej chwili czynnych w stolicy Niemiec jest dwadzieścia cztery. Z tej liczby olbrzymia większość, bo *szesnaście*, ma na afiszu „utwory z muzyką i tańcem".

W obydwóch Operach — operetka („Noc w Wenecji", „Księżniczka z Trapezundu"). W Dramacie państwowym (Schauspielhaus) — „100.000 talarów" „possa" Kalischa. W Teatrze Szyllera — „Robert i Bertrand". Dziesięć teatrów prywatnych gra bądź czyste operetki (Metropol, Nollendorf, Wielki Schauspielhaus, Komische Oper, Kurfürstendamm, Plaza, Posse Theater), bądź komedje muzyczne (Komödienhaus, Teatr Aktorów — dawny Schiffbauerdamm, Teatr Lessinga).

A repertuar pozostałych dziesięciu? W czterech — farsa. W jednym występy Pallenberga w „Szwejku". W drugim — Albersa w „Liliomie". W trzecim — Leopoldyna Konstantin w sensacyjnej bombie. Tylko w jednym, jedynym Ludowym („Volksbühne") — dramat. Ta jedna reduta się trzyma.

A eks - reinhardtowski „Deutsches Theater", do niedawna chluba kulturalna Berlina? Gra „Ocet i Oliwę", wiedeńską komedję ludową z muzyką popularnego Katschera. (Sztukę, z powodu której tak dumnie pisał Kerr, zdjęto po kilku przedstawieniach). Filję „Deutsches Theater"—„Kammerspiele" wogóle zamknięto na czas nieograniczony...

Ale czynne są i przepełnione (podobno): Winter Garten, Scala, Kabaret Komików, Kabaret Schaefera, Tingel Tangel i inne hole muzyczne i taneczne...

Kronika muzyczna

W Warszawie odbyło się doroczne posiedzenie jury Sekcji Polskiej Międzynarodowego Tow. Muzyki Współczesnej w celu zakwalifikowania kompozycyj polskich, mających być przesłanemi do Amsterdamu pod obrady międzynarodowego Jury Festivalu muzyki współczesnej. Zakwalifikowano kompozycje: J. Fitelberga, Kasserna, Kofflera, Kondrackiego, Maciejewskiego, Maklakiewicza, Neuteicha, Niekraszowej, Palestra, Perkowskiego, Szałowskiego, Szeligowskiego, Szymanowskiego i Woytowicza.

*

W tym roku przypada setna rocznica urodzin J. Brahmsa. W Niemczech odbędzie się szereg Festivali, poświęconych wielkiemu kompozytorowi. W Paryżu — pod dyrekcją F. Weingartnera — dano koncert, złożony z dzieł Brahmsa. Taki sam koncert odbył się w Amsterdamie. Najuroczyściej szykuje się Wiedeń do uczczenia mistrza.

*

W Moskwie odbyła się międzynarodowa konferencja „Muzyki Rewolucyjnej" z udziałem delegatów: Z. S. R. R., Stanów Zjedn., Francji, Niemiec, Japonji, Holandji, Węgier, Austrji, Belgji, Meksyku i... Litwy. Wygłoszono szereg referatów, mających na celu „propagandę muzyki rewolucyjnej". Na czem to polega, bliżej nam niewiadomo.

*

Toscanini, jeden z najwybitniejszych współczesnych dyrygentów, został udekorowany przez Herriota krzyżem Legji Honorowej.

*

Znany kapelmistrz wiedeński Felix Weingartner zinstrumentował nieznany fortepianowy utwór G. Bizet'a p. t. „Warjacje chromatyczne". Został on wykonany w Paryżu.

*

Słynny pianista Maurycy Rosenthal obchodzi rzadki jubileusz: wystąpi w Nowym Jorku z koncertem w dniu 60-lecia swej karjery wirtuozowskiej. Dodać należy, że pierwszy jego występ — w roku 1873-im — odbył się we Lwowie. Grał wówczas Rondo „C" Chopina na dwa fortepiany z Karolem Mikulim; swym profesorem, sławnym Mikulim, który z kolei był uczniem samego Chopina.

*

Ernst Krenek pisze obecnie nową operę historyczną p. t. „Cesarz Karol V".

*

W San Francisco została otwarta nowa Opera. Jest to pierwsza opera w Stanach Zjednoczonych, nie będąca prywatną własnością: należy ona do miasta. The War Memorial Opera House — tak brzmi jej nazwa — została zbudowana z wielkim nakładem i zgodnie z ostatniemi zdobyczami w dziedzinie techniczno-akustycznej. Mieścić będzie 3.285 słuchaczy.

SPORTY ZIMOWE W ZAKOPANEM



PRZYGOTOWANIA DO ZAWODÓW KONNYCH (BIEGI Z PRZESZKODAMI I SKJÖRING)



„TWOJE CUDNE OCZY..."

„W twoje cudne, cudne, cudne oczy
kiedy patrzy, wstrzymuje się słońce,
i dziwuje im się kwiat na łące,
i czar idzie z niebieskich roztoczy
w twoje cudne, cudne, cudne oczy..."
(K. Przerwa-Tetmajer)

Tak pisze poeta, wezbrany uniesieniem miłosnem. Mimo piękności i rytmu tych słów, sceptycznemu pozytywiście wydawaćby się mogła nieco przesadną ta pokora przyrody, milknącej wobec uroku kobiecych oczu. Egzaltowany kult urody niewieściej w naszej trzeźwej i chłodnej epoce ustępuje rzeczowej analizie: co mianowicie się składa na „czar oczu" — który dziś sławią nietyle poeci, ile... autorzy tanga, jaka musi być budowa oka, jaki kształt i kurczliwość źrenic, jakie proporcje w rysunku twarzy, by nas, zwykłych widzów, uderzały oczu blask i piękność?

Oko musi być przedewszystkiem wyraziste. Ale ekspresja spojrzenia, z punktu widzenia anatomicznego, nie zawiera się w samych gałkach ocznych, lecz w mimice mięśni otaczających. Kształt oka zależy od rozmieszczenia w układzie twarzy i od nachylenia powiek.

O brwiach trudno cokolwiek powiedzieć — dziś, kiedy wszystkie prawie buzie pięknych pań są standaryzowane pod „znakiem zapytania", w który to znak umiejętne ręce kosmetyczki wyskubują, wyszczypują, golą czy „epilują" naturalny łuk brwiowy — owe uniesione ku skroniom cienkie kreski nadają twarzy wyraz zadziwienia, czasem drwiący, czasem ironiczny...

U normalnego człowieka (bez korektury „Institut de beauté!) wyraz twarzy w dużej mierze zależy od umiejscowienia oczu w stosunku do linji nosa. Wypadek klasycznej proporcji zachodzi wtedy, kiedy odległość pomiędzy wewnętrznemi kącikami oczu, z prawej i z lewej strony nosa, równa się długości oka od jednego kąta do drugiego. Jeśli kąty oczu są zabardzo do siebie zbliżone, zwłaszcza jeśli gałka jest ukryta w oczodole, twarz ma wyraz żywy, ruchliwy. Oczy zaś nieco wypukłe tracą na żywości, zyskują natomiast na łagodności i spokoju. Oczy „głębokie" są bardziej błyszczące, wskutek cienia z pod wysuniętego łuku brwiowego.

Niektóre rasy, słynne z okrucieństwa, jak Mongołowie lub Arabowie, posiadają oczy blisko rozstawione. Przeciwnie zaś, rasa łacińska, ogólnie biorąc, ma oczy raczej wypukłe, dalej rozmieszczone, co zdaniem uczonych, wskazuje na wielkie zasoby uczuciowości i dobroci.

W normalnym układzie oczu linja, przebiegająca między kątami oczu, jest prosta, pozioma. Ale przebieg tej linji bywa rozmaity: przy nachyleniu zbieżnem oczu twarz nabiera wyrazu szczególnej subtelności — odwrotnie, w przypadku nachylenia rozbieżnego, gdy oczy są ściągnięte ku skroniom, twarz wydaje się smutna i mniej inteligentna.

Nie należy sądzić, że poniżej zamieszczone dane charakterologiczne mają znamię „wróżb", że można bez zastrzeżeń wierzyć zależności między usposobieniem a rysami twarzy. To medycyna dopatruje się związku między cechami fizycznemi a dyspozycjami psychicznemi. I rzecz prosta, tylko w zakresie ogólnym, w przypadkach *typowych*, od których zróżnicowanie indywidualne może odbiegać dość daleko.

Tak więc — naogół biorąc — oczy wielkie, otwarte znamionują dobroć i inteligencję. Ale oczy zbyt duże, zwłaszcza wilgotnawe, nadają twarzy wyraz przerażonego zdumienia lub prymitywnej tęsknoty.

Oczy małe nie są piękne; szparkowate, zagubione w fałdach powiek mówią o złośliwości, o małostkowości usposobienia. Oczki małpy zdają się wwiercać, jak świder.

Wielkość oka w większości przypadków zależy od rozwartości powiek: osoby chytre, przebiegłe chętnie przymykają od czasu do czasu jedno oko.

Oko „migdałowate" świadczy o elegancji, łagodności, skłonności do kokieterji.

Oko okrągłe — mówi o energji, o stałości, o szczerości. Szczególnie, gdy źrenica jest szeroko otwarta, jasna.

Źrenice rozszerzone wskazują na pewne rozprężenie psychiczne, na opuszczenie moralne, na słabość woli.

Wiadomą jest rzeczą, że nadmierne rozszerzenie źrenic jest oznaką żywych reakcyj, wielkiego strachu lub wielkiej radości. Istnieją pewne narkotyki, które posiadają własność rozszerzania źrenic (np. belladonna).

Kurczliwość źrenic jest cechą swoistą nietylko człowieka, ale i zwierząt. Zwłaszcza dotyczy to zwierząt, które same polują, albo na które człowiek poluje. Te, które są ścigane, mają dwa sposoby uniknięcia śmierci — albo ucieczka, albo ukrycie się. W obydwóch wypadkach przydaje się dobry wzrok.

Wszystkie zwierzęta przeżuwające oraz większe jednokopytne posiadają źrenice w kształcie poziomej szpary. Oczy ich, umieszczone po obydwóch stronach głowy, o zwężających się źrenicach pozwalają im obserwować wroga w czasie ucieczki.

Koniom umyślnie zakłada się boczne okulary, by ograniczyć zasięg widzenia, by wzrok ich nie rozpraszał się. Zwierzęta bardziej szczwane, polujące, posiadają oczy o źrenicach okrągłych (np. psy).

Czem jest oko? Aparatem do patrzenia. I to podobno dość niedoskonałym. Helmholtz twierdził, że podobnie nieprecyzyjnego instrumentu nie przyjąłby od optyka. Więc — jest to przyrząd do patrzenia. Ale patrzeć niezawsze znaczy: widzieć.

Jerzy Rawicz



NACHYLENIE SKOŚNE OCZU (PORTRET CRANACHA, 1534)

W KINACH WARSZAWSKICH

OSTATNIE NOWOŚCI

Najwybitniejszem wydarzeniem kinowem ubiegłego tygodnia była premjera „Ludzi w hotelu" (kino „Światowid").

Amerykańska wytwórnia zrobiła wszystko, ażeby olśnić widza: zakupiono popularną już i niepozbawioną wartości sztukę Vicy Baum, zaangażowano wybitnego reżysera Gouldinga, zmobilizowano wreszcie całą armję „gwiazd". Rezultat jest istotnie wspaniały. Stworzono film, który śmiało może konkurować z najciekawszemi przedstawieniami w... teatrze. Tylko, że transkrypcja ekranowa jest daleko plastyczniejsza, bardziej skondensowana, — ma więcej dynamiki i siły, niż inscenizacja sceniczna. Całość skonstruowana jest po mistrzowsku.

Ale największy sukces odnieśli aktorzy: Joanna Crawford, Greta Garbo, Lionell Barrymore i jego młodszy brat, John.

Tryumf Grety Garbo jest tem cenniejszy, że już rok temu wielu postawiło nad jej karjerą krzyż, dowodząc, iż epoka mówionego filmu stała się grobem dla wielkiego talentu. A tymczasem, jakby na przekór opinji, stajemy przed faktem „odrodzenia". Greta Garbo „zaczyna się" dopiero...

*

7 stycznia wystąpiło kino „Casino" z premjerą komedji polskiej „10 procent dla mnie".

Odkładając obszerniejszą ocenę do następnego numeru, ograniczymy się narazie do stwierdzenia, że reżyserja jest rzetelna, rzecz ma dużo humoru, a artyści (Mankiewiczówna, Krukowski, Walter, Wesołowski) spisali się dzielnie. Trzeba też wyróżnić A. Rapackiego za kompozycje melodyjnych piosenek.

J. F.

WIEŚCI Z POZA EKRANU

— Ukończono całkowicie komedję „Romeo i Julcia". Obsada: Pogorzelska, Dymsza, Tom, Fertner, Sielański. Reżyserja: Przybylski; muzyka: H. Wars.

— Na nowy rok zaproponowano „gwiazdom" w Hollywood 30-procentową zniżkę uposażeń. Artyści grożą strajkiem, ale wytwórnie trwają niezłomnie przy swojem.

— Aż huczy w prasie amerykańskiej od najrozmaitszych plotek i wiadomości na temat nowego zatargu Marleny Dietrich z wytwórnią Paramount. Podobno ma dojść do „rozwodu". Również i Sternberg opuściłby Hollywood, aby pracować w Europie. Ale gdzie i... za jakie pieniądze?

HUMOR

POCHWAŁA RADJA

— W jakim teatrze teraz gracie, kolego?

— W teatrze? W żadnym! Gram w radjo.

— I dobrze tam?

— Cudownie! Niema porównania z teatrem. Przedewszystkiem nie potrzeba kuć roli na pamięć. Po drugie, ma się zawsze publiczność. Masę publiczności! A po trzecie: nie można mieć złej recenzji w Kurjerku...

„10 PROCENT DLA MNIE"



Oto scena z najweselszej komedji polskiej „10 procent dla mnie", w której role główne grają: Tola Mankiewiczówna, Kazimierz Krukowski, Władysław Walter i Tadeusz Wesołowski. Film ten od kilku dni wyświetla z wielkiem powodzeniem warszawskie Kino „Casino"

PAMIĘTNIKI ZŁODZIEJA



„Trzeba mieć więcej odwagi do przyznania się do zła, aniżeli do popełnienia go" — oświadcza Urke-Nachalnik, autor książki o 380 stronach, zawodowy złodziej, który połowę swego życia przesiedział w kryminale. Teraz, osiągnąwszy 35 lat, zabrał się do pisania pamiętników i wydał je p. t. „Życiorys własny przestępcy" *).

Trudno o lekturę bardziej sensacyjną i bardziej ...fascynującą. Wśród modnych dziś „biographies romancées" jest to prawdziwy romans życiowy. Autor bowiem opowiada o własnych losach, odsłania tajniki swej duszy, przedstawia autentyczne zdarzenia, według zapewnień zaś wydawcy, który rękopis opracował do druku, robi to z całą szczerością i wiarogodnością. Nie ma zresztą powodu do kłamstwa: nazwiska swego nie zdradza, za winy popełnione odpokutował, niektóre szczegóły niewygodne dla siebie — przemilcza. Ale to, co mówi w swej książce, stanowi pierwszorzędny materjał do poznania psychiki przestępcy, otoczenia, w którem się obraca, stosunków więziennych i policyjnych. Znajdujemy tam nadto sporo przyczynków do charakterystyki pewnych sfer społecznych z poza notorycznego świata zbrodni, do zaznajomienia się z obyczajowością, z pojęciami żydów małomiasteczkowych, a nawet do oświetlenia niektórych zjawisk politycznych pod zaborem rosyjskim i podczas okupacji niemieckiej.

Autor urodził się 1897 r. w małem miasteczku nad Narwią, niedaleko Łomży, w zamożnej kupieckiej rodzinie żydowskiej, cieszącej się poważaniem w całej okolicy. Ojciec handlował mąką, dzierżawił młyny, prowadził rozległe interesy przed wojną, chciał też swego pierworodnego kształcić w normalnych szkołach. Ale matka, córka chasyda, marzyła, by został rabinem. Wybór karjery postanowiono pozostawić samemu dziecku — pięcioletniemu. „Tego dnia — opowiada, — gdym miał zadecydować o swym losie, matka podarowała mi ładnego konika i ołowianego żołnierza, a do tego plitkę czekolady, więc udzieliłem swej zgody na uczęszczanie do chederu". Wymowny opis tej swoistej uczelni zajmuje kilka stron i kończy się ogólną uwagą autora: „dziecko żadnego narodu nie przechodzi tak okropnych mąk w szkołach, jak dziecko żydowskie".

W dwunastym roku życia przeszedł do „wyższego zakładu naukowego" — do jeszywetu, kształcącego kandydatów na rabinów. Uczył się wzorowo; nie jego było winą, że poza czterema działaniami arytmetycznemi i umiejętnością czytania po żydowsku i po hebrajsku niczego tam nie uczono; nie wiedział nawet, ile jest części świata i gdzie leży Palestyna. Zato biegdy był w Pięcioksięgu, w Prorokach, Talmudzie. To też z dumą wracał na święta do domu: „Droga ta była bardzo nudna; furmanka, którą jechałem z piętnastoma osobami, toczyła się po roli; ciągnęła ją para koni, a raczej szkielety końskie. Żydek, znany mi furman, którego pradziadek po tej drodze jeszcze furmanił, okładał je batem, gdzie popadło. Żal mi ich było, więc dla ulżenia tym szkapiskom więcej szedłem pieszo, niż jechałem... Żaden z pasażerów nawet pod górę nie zeszedł, chociaż patrzyli, jak wraz z furmanem pchałem wóz, by koniom ulżyć. Bo pocóż to, czy nie zapłacili 25 kopiejek?

Chłopiec miał nietylko tkliwe serce; odznaczał się też zdolnością samodzielnego myślenia; nie mógł zrozumieć, dlaczego nie pozwalają mu bawić się z Frankiem, ani tembardziej cośkolwiek jeść u niego. Zaczął wątpić w prawdomówność rebego. W sobotę wieczorem chodził „do Turka na kawę i ciastka", a — co gorzej — wespół z kolegami zaczął się golić, palić papierosy, grać w karty i słuchać o kobietach. Aż wszystko wydało się przed „rosajszywą" (przełożonym jeszywetu), który go srodze zmonitował. „Tak zawsze — powiada — przeszkadzali mi kogoś kochać! Gdy był to goj, nie mogłem go kochać, bo goj nie ma duszy, gdy kobieta, to także niebezpieczna"...

Zwątpienie w słuszność niektórych dziwacznych zakazów miało fatalne następstwa: chłopak zaczął sobie wogóle lekceważyć wszelkie normy etyczne; zetknął się z domem rozpusty, zabrał pieniądze ojca, uciekł z domu, aż dostał się do rodziny litwackiej na nauczyciela hebrajszczyzny. Na kilkunastu stronach odtwarza atmosferę obyczajową i moralną, panującą w tem środowisku. Skończyło się to fatalnie: uwiódł córkę, ukradł przez zemstę portfel i zegarek korepetytorowi, który okazał się jego rywalem, dostał się do aresztu. „Ach ten wstyd! — wyznaje. — Nikt sobie nie może wyobrazić, jak wielki jest wstyd złodzieja, gdy go złapią po raz pierwszy! Później, gdy się już uchodzi za recydywistę, wstyd daleko w mniejszym odczuwa się stopniu". Najprzykrzejsze jednak było, że ojciec, uwolniwszy go z więzienia, każdemu opowiadał o jego kradzieży. „Zapewne sądził, że w ten sposób obrzydzi mi występne życie. Taktyka ta wszakże minęła się z celem i raczej przyspieszyła zrządzenie losu".

Rodzina próbowała go jeszcze ratować. Wziął go do siebie stryj, który „ożenił się bardzo bogato, biorąc w posagu dużą, dobrze prosperującą piekarnię i handel zbożowy". Stryj był tam zrazu czeladnikiem i właściciel ani chciał słyszeć o oddaniu mu córki. „Wkrótce jednak — pisze autor — wytworzyła się sytuacja, iż kupiec był nawet zadowolony, że stryj zgodził się na żeniaczkę, zanim ludzie mogli spostrzec, iż córka z dnia na dzień staje się pełniejsza... Ten to czcigodny stryjcio teraz zapewne mnie się wstydził"... „Nie przeszkadzało mu to wszakże, by mnie, jako familjanta, użył do „uczciwej pracy", jak naprz. do mieszania żytnich otrąb lub mąki z pewną ilością piasku. Takiego „prima" gatunku otrąb lub mąki przychodziło nieraz przygotować z 200 worków i więcej". — Uwagi te świadczą, że fach złodziejski nie zabił w autorze pojęć moralnych.

Niedługo nasz bohater był piekarzem. Przerzucił się do furmaństwa. Został woźnicą u przedsiębiorcy transportowego, który był w stosunkach ze złodziejami; podwoził ich „na robotę"; wkrótce sam zaczął brać udział w kradzieżach. Pierwszą wyprawę tak opisuje: „Posadzka, przez którą szedłem, wydawała mi się bagnem, w którem utkwiły moje nogi. Dławiło mnie coś w gardle"... Potem nabrał wprawy, ale nigdy nie mógł pozbyć się strachu: „Serce u człowieka — widać — nie lubi złodziei, gdyż w takich chwilach zaczyna gwałtownie bić, jakby chciało wyskoczyć"...

W innem miejscu pisze: „Zdrowie i

---

*) *Urke-Nachalnik. Życiorys własny przestępcy.* Przedmowę napisał dr. Stefan Błachowski, profesor Uniw. Pozn. Opracował Stanisław Kowalski, mg. fil. Nakładca: Tow. Opieki nad więźniem—„Patronat"—Oddział Rawicz. Poznań, 1933.

krew, która ubywa podczas „roboty" i śmiertelny lęk, który złodziej przechodzi, nie da się powrócić za żadne pieniądze. Ludzie zaś mają bardzo mylny sąd o tem, że złodzieje działają śmiało i bez obawy. To iest nieprawda. Przy każdej robocie cierpi on okropne męki. 90 procent recydywistów twierdzi stanowczo, że idą wtedy kraść, gdy już są goli, a grosz zarobiony uczciwie więcej u nich znaczy, niż złoty kradziony. Ten zaś idzie z lekkiem sercem i śmiało do „roboty", co jeszcze nie siedział w więzieniu; nie myśli on o karze, dlatego, że jej nie zna. W naszym świecie jest nawet o tem przysłowie. O ile ktoś zbyt śmiało postępuje przy robocie, mówią: „Ten ma frajerską parę". Znaczy to, że jeszcze się nie oparzył i nie zna skutków, jakie za sobą pociągnąć może".

Jest to ciekawe wyznanie zawodowca i daje cenną wskazówkę kryminologom. Przemawia ono za ostremi karami za drobne nawet kradzieże, niepopełnione pod przymusem głodu. Zresztą wiadomo, że w krajach, stosujących niegdyś do złodziei drakońskie kary, dziś jest największe poszanowanie cudzej własności.

Polityka kryminalna winna wyciągnąć konsekwencje z innej jeszcze uwagi autora: „Każdy recydywista jest ostrożny, bardzo ostrożny i idzie kraść jedynie dlatego właśnie, że jest recydywistą. Kto bowiem pracę takiemu da? A jeść codziennie musi, jak każdy najporządniejszy człowiek pod słońcem. Nawet twierdzę, że każdy recydywista czuje wstręt do swego rzemiosła... Są i zwyrodnialcy, ale bardzo ich mało"...

Ciekawe są spostrzeżenia o zachowaniu się przestępców na wolności, gdy im się powiedzie: „Złodziej, gdy ma pieniądze, rozum traci, a gdy odzyska rozum, nie ma już pieniędzy... Przysłowie, dotyczące złodziei: lekko przyszło, lekko poszło — niezupełnie jest jednak trafne. Należy raczej mówić: ciężko przyszło, a lekko poszło".

Nie należy sądzić, że złodzieje pozbawieni są wszelkiej etyki. Sutenerstwo np. jest wśród nich piętnowane. „Trzymałem się prawa złodziejskiego, — pisze autor — które potępia tego, co ciągnie korzyści od kochanki lub żony; taki jest pogardzany na każdym kroku". Istnieją też swoiste nakazy moralne: „Zwyczaj jest ściśle przestrzegany w tym świecie, że gdy złodziej odsiedział większy wyrok, należy go brać „na robotę", by zarobił, a przytem nie dać mu ryzykować za bardzo, a „dolę" (udział) zawsze otrzymuje narówni z innymi". Z opowiadań autora widać, jak ta zasada bywa skrupulatnie przestrzegana.

Pomoc wzajemna wśród złodziei przejawia się jeszcze w innej formie: dostarczania „grypsów" i „wałówek" siedzącym w więzieniu, ułatwiania ucieczki, handlu wymiennego między aresztantami etc.

Istnieje też silne poczucie solidarności narodowej, zwłaszcza wśród żydów. „Żaden porządny paser koni kradzionych u żydów i za darmo nawet nie weźmie" — wykładano naszemu złodziejowi, gdy przekroczył to przykazanie, za co omal nie poszedł pod „dyntojrę". Gdy zaś wyrażał z tego powodu zdziwienie, usłyszał:

— Jakto, ty myślisz, że przez te pieniądze będę miał na sumieniu żydowskie konie? Dotychczas, a już Bogu dzięki 25 lat jak paseruję, nie miałem tego na sumieniu i dalej nie chcę mieć".



Inny zaś paser, uczony w piśmie, udowadniał, że „goja okradać nie jest wcale grzechem. Opierał swoje wywody na talmudzie, gdzie w pewnym rozdziale pewien rabin tak mówi: Gezeł kusy muter. — Rabować goja jest dozwolone"...

Te wyznaniowo-rasowe argumenty nie trafiały do naszego autora. Był on stanowczym zwolennikiem równouprawnienia i wrogiem nacjonalizmu. Nienawidził tylko Niemców. Bo też wycierpiał od nich zarówno z Zuchthausie berlińskim, jak w łomżyńskim „Czerwoniaku" podczas okupacji. Stosowano tam prawdziwe tortury, a opis ich rzuca ponure światło na postępowanie okupantów. Jedyne wytchnienie znajdował wówczas we śnie:

„Dla więźnia sny są naprawdę balsamem w jego cierpieniu... Sny pozwalają więźniowi bujać po tak upragnionej na jawie wolności. Po części działają kojąco na więźnia, urozmaicając mu jednostajne życie. Sny podają mu świeże tematy do myślenia"...

Bez nich byłby los więźniów jeszcze cięższy. „Ludzie — powiada autor — po długim pobycie w więzieniu dziecinnieją lub warjują. Więzienie to kraj ludzi chorych na manję wielkości... Wszystkie rekordowe przestępstwa, dokonane wprost genjalnie, są obmyślone starannie i szczegółowo w pojedyńczej celi więziennej. Pojedynka jest matką zbrodni". — Tak utrzymuje „Urke", t. j. wytrawny złodziej międzynarodowy, któremu jeszcze dodano przezwisko „Nachalnik".

„Przyznam, — powiada — że u ludzi „frajerskiego" świata nie budzi ono bardzo zaufania, ale zato w naszym świecie przezwisko to jest bardzo ładne i zaszczytne... Kosztowało mnie ono sto razy więcej, niż tytuł barona austrjackiego, bo aż piętnaście lat i 3 miesiące więzienia".

Człowiek o tak wielkiem doświadczeniu ma coś na ten temat do powiedzenia. Utrzymuje on, że więzień „po dłuższym czasie staje się filozofem, poetą, wynalazcą, artystą, a nareszcie idjotą"...

„Ja, podlegając temu prawu, podczas pierwszego pobytu w pojedyńczej celi już zacząłem pisać wiersze... Winną jest ta przeklęta pojedynka. Ona to zrobiła ze mnie niewyleczalnego grafomana. Przyznam się szczerze, że niszczyłem już kilka razy swoje nieszczęsne utwory; wszakże spokoju nie zaznałem, dopóki nie pozbierałem tych podartych arkuszy i nie zlepiłem, by je przepisać na nowo".

Nie znamy wierszy Urke-Nachalnika. Ale sądząc z jego pamiętnika, niesłusznie nazywa się grafomanem. Pisze on żywo, zwięźle, jasno; kompozycja utworu jest bez zarzutu. Czyta się go z zajęciem, jednym tchem. Pewnie, że pamiętnik jego nie jest dziełem literackiem, ani wzorem języka i stylu. Ale stanowi wielkiej doniosłości dokument obyczajowy naszych czasów, a napięciem akcji przewyższa wiele utworów beletrystycznych głośnych autorów. Szkoda tylko, że w końcowej części pierwiastek erotyczny dominuje nad opisami kunsztu złodziejskiego i scenami rodzajowemi, tak świetnemi w pierwszej połowie książki.

W. G.

Z ŻAŁOBNEJ KARTY

Ś. p. Władysław Lempke

W dn. 10 stycznia, grobowe wieko przykryło śmiertelne szczątki ś. p. Władysława Lempkego, by wieczny odpoczynek dać Mu po długiem, pełnem ofiarnej pracy życiu.



Ś. P. WŁADYSŁAW LEMPKE, obywatel st. m. Warszawy, uczestnik powstania 1863 r., członek Straży Obywatelskiej w Warszawie, zmarł dn 6 stycznia 1933 roku.

Urodzony w r. 1850 — jako 13-letni chłopiec bierze czynny udział w powstaniu 1863 r. przy boku swych starszych braci, pomagając z narażeniem życia w dostarczaniu partji pułkownika Cieszkowskiego broni, amunicji i żywności.

Po upadku powstania, osierocony całkowicie, wychowuje się u swych krewnych. W r. 1880—korzystając z materjalnej pomocy krewnych, zakłada własny warsztat pracy w postaci fabryki powozów w Warszawie.

Przez dziesiątki lat, jako jeden z pierwszych obywateli przedmieścia Warszawy — Sielc — pracuje z poświęceniem i energją nad podniesieniem kulturalnem tej dzielnicy, stojąc na czele nielegalnej wówczas organizacji Stowarzyszenia Właścicieli Nieruchomości i mieszkańców Sielc.

Stworzywszy własną rodzinę, wychowywał dzieci w tradycjach walk powstaniowych, w duchu niepodległości Polski.

Jako 65-letni starzec — z chwilą opuszczenia Warszawy przez Moskali, w roku 1915 — wstępuje do szeregów Straży Obywatelskiej, w których pozostaje do utworzenia milicji narodowej.

W r. 1920 — gdy najeźdźcze hordy bolszewickie wdzierały się wgłąb kraju, ś. p. Władysław Lempke wysyła swego najmłodszego syna — wówczas 15-letniego Eugenjusza, by walczył w obronie granic Polski.

W dn. 6 stycznia — sterany pracą, znękany ciężką chorobą, oddał Bogu niestrudzonego Ducha Swego.

Cześć Jego świetlanej pamięci!

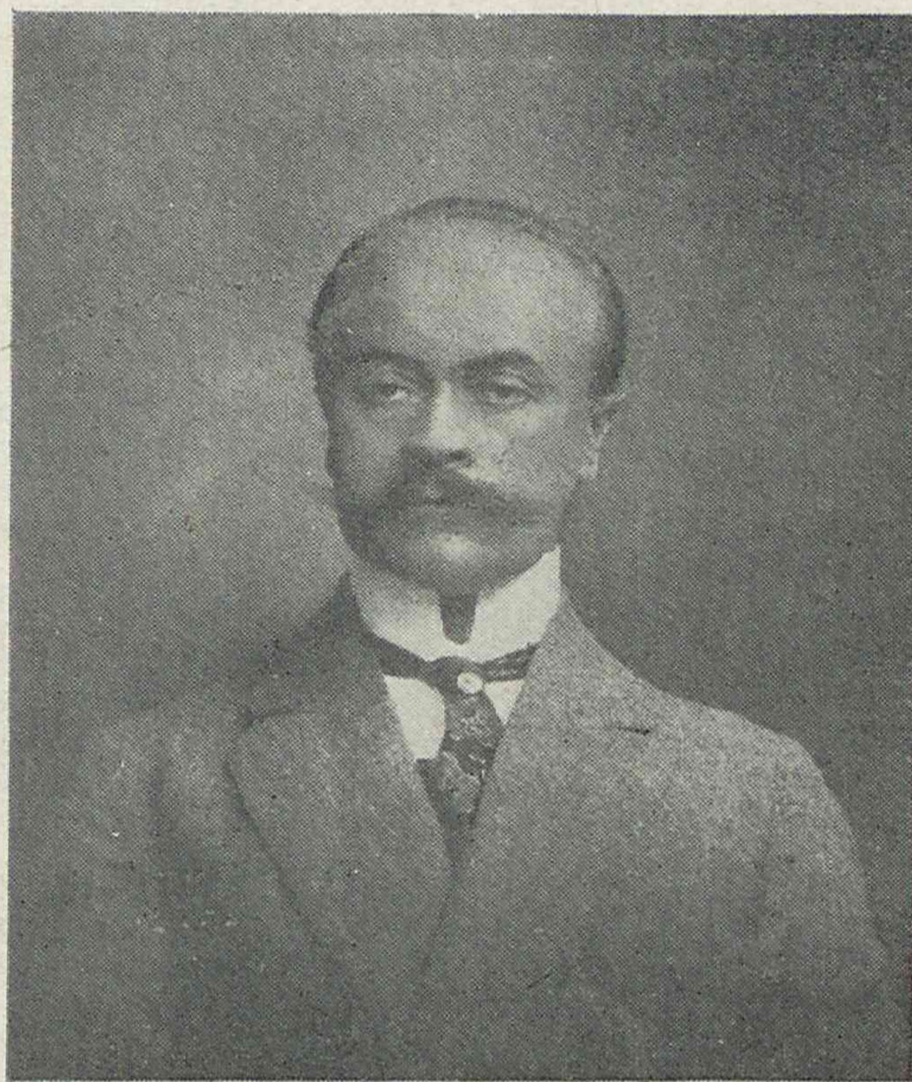
⁂

Panu *Senatorowi* Leonowi Lempkemu, prezesowi Z. U. K. oraz braciom Jego, p. Edwardowi — znanemu działaczowi, prezesowi Związku Kupców Chrześcijan Przemysłu Mięsnego, i p. Eugenjuszowi — porucznikowi W. P., oraz rodzinie ś. p. Władysława Lempkego — wyrażamy na tem miejscu słowa serdecznego współczucia i żalu z powodu tej straty

Redakcja

Ś. p. Zygmunt Poraziński

W dniu 24 grudnia 1932 r. zmarł we Włodawie ś. p. Zygmunt Poraziński, znany i ceniony w szerokich kołach towarzyskich Warszawy oraz w kołach prawniczych przed wojną adwokat przysięgły i pedagog. Oba te zawody wykonywał ze znawstwem, szczerem przejęciem i gorącem umiłowaniem. Wykładając przez szereg lat na pensji ś. p. Natalji Porazińskiej matematykę i prawo cywilne, zaskarbił sobie na stałe szacunek i miłość licznego grona uczenic. Żywe, pogodne, wiecznie młode i pełne humoru usposobienie czyniło Go ogólnie pożądanym organizatorem i uczestnikiem zebrań towarzyskich, które traktował jako jeden z poważnych czynników zachowania i rozwoju energji życiowej. Przez czas dłuższy był Prezesem Wydziału dochodów niestałych Warszaw. Towarzystwa Dobroczyn-



ności i na tem stanowisku przyczynił się skutecznie do ulżenia niejednej ciężkiej doli. Przymusowy pobyt w Moskwie podczas wielkiej wojny, w szczególności zaś rewolucja bolszewicka 1917/18 r. nabawiły Go choroby sercowej, która po Jego powrocie do wolnej Ojczyzny uniemożliwiła mu prowadzenie nadal dawnych Jego zajęć. Prawość Jego charakteru i niezależność przekonań powodowały, iż gorąco oburzał się na wszelką niesprawiedliwość, na wszelki fałsz i gwałt czy to w stosunkach prywatnych, czy też publicznych. Przy końcu swego życia osiadł we Włodawie u swoich braterstwa, gdzie też w Wilję B. N. roku ub. serce Jego nagle bić przestało, pozostawiając po sobie żal głęboki wszystkich tych, którzy Go kochali i szanowali.

Ś. p. Melanja Radkiewiczowa

Ś. p. Melanja z Zabłockich Władysławowa Radkiewiczowa, b. ziemianka, urodzona w 1836 r. w majątku Czerlinie (Wielkopolska).

Po długich i ciężkich cierpieniach zakończyła w Warszawie, dnia 25-go grud-



nia 1932 roku, życie pełne zasług. Zmarła była jedną z najszlachetniejszych Matron Polskich, niosła cichą, bezinteresowną pomoc smutnym.

Pozostawiła liczne grono dzieci oraz wnuków, które dla Ojczyzny i bliźniego godnie wychowała.

Cześć Jej pamięci.

ZE ŚWIATA MODY

KOBIETA W SKÓRACH I STALI

Skóra i metal, które niegdyś znajdowały zastosowanie jedynie w ubiorze męskim, nadając mu piętno mocy i surowości, teraz zajmują coraz wybitniejsze miejsce w strojach kobiecych. Czy to objaw maskulinizacji gustów płci pięknej, czy też poszukiwanie coraz nowych ornamentów przyozdobienia?

Raczej to drugie. Przed użyciem bowiem skóra podlega wielokrotnym operacjom: jest farbowana, wytłaczana, nakładana, haftowana, słowem, cywilizowana w tak usilny sposób, że biedne zwierzę, z którego ją zdarto, nigdyby jej nie poznało. Zdobi nią teraz piękna pani kołnierzyk, mankiety, pasek, kapelusz i t. p.

Metal zjawia się, aby na matową i martwą skórę rzucić nieco lśniącego połysku. Nie jest to jednak, broń Boże, złoto, ani srebro. Nie mają już one kursu w ciężkich czasach deflacji. Świadczyłyby o parwenjuszostwie i braku instynktów społecznych. Używa się do strojów damskich tylko niklu, białego metalu, rzadziej mosiądzu, a najlepiej stali.

Paski z elastycznych blaszek, naszyjniki z rurek i plakietek metalowych, bransolety z drucików i łańcuchów — możliwie najprostsze, o formach geometrycznych — oto ostatnia moda. Paciorki ze szkła, celuloidu czy innej sztucznej masy poszły w kąt. Nawet guziki, zdobiące suknie i okrycia, winny być metalowe, jak przy uniformach, a klamry duże, widoczne.

Młode elegantki opasują talję i szyję giętkim, ściśle przylegającym wężem o metalowym połysku. Chociaż się wie, że gad ten jest niklowy, ręka męska, gdy go dotknie, pomimowoli zadrży i cofnie się.

Taka dziś moda.



Nowa Siedziba Komunalnej Kasy Oszczędności (K. K. O.) pow. Warszawskiego, w Warszawie, przy ul. Zgoda Nr. 7—po Banku Przemysłowców Polskich. Wkłady i lokaty: zł. 13.400.000. Ilość wkładców (kont): 19.610

Przyznanie nagród za hasło na „DENTOSAN"

Dnia 7 b. m. w gmachu firmy „L. Spiess i Syn" w Warszawie, odbyło się pod przewodnictwem Kornela Makuszyńskiego posiedzenie sądu konkursowego w składzie następującym: pp. Mieczysława Ćwiklińska, Karolina Lubieńska, redaktorzy Witold Giełżyński i Jan Sokolicz Wroczyński, przedstawiciele firm „Antiba" i „Ludwik Spiess i Syn" pp. dyrektor Andrzej Kozłowski i Edward Freyer, oraz Stanisław Pietraszek, na najlepsze hasła reklamowe na wyroby „Dentosan".

Ogółem nadesłano 3.282 projektów, oraz kilkaset, nieodpowiadających warunkom konkursu. Sąd konkursowy po rozpatrzeniu wszystkich projektów przyznał:

I nagrodę, 150 zł. gotówką p. Stefanowi Rydlowi w Krakowie, za hasło „Dentosan — dobroczyńca zębów";

II nagrodę, kupon na 100 zł. wyrobami firm „Antiba" i „L. Spiess i Syn" p. Jerzemu Rozwadowskiemu (Warszawa, Nowy Świat 60) za hasło „Chcesz zęby mieć jak perły? nic trudnego przecie, po to bowiem Dentosan istnieje na świecie.

III nagrodę, zł. 50.—, wyrobami powyższych firm p. Zygmuntowi Wasilewskiemu z Zakopanego, za hasło „Zdrowie — to zęby zdrowe, Dentosan to zdrowe zęby".

IV nagrodę, zł. 25.—, wyrobami powyższych firm, p. Stanisławowi Witowskiemu (Warszawa, Nowogrodzka 31 m. 38) za hasło „Uśmiech ładny, usta świeże, bo Dentosan zębów strzeże".

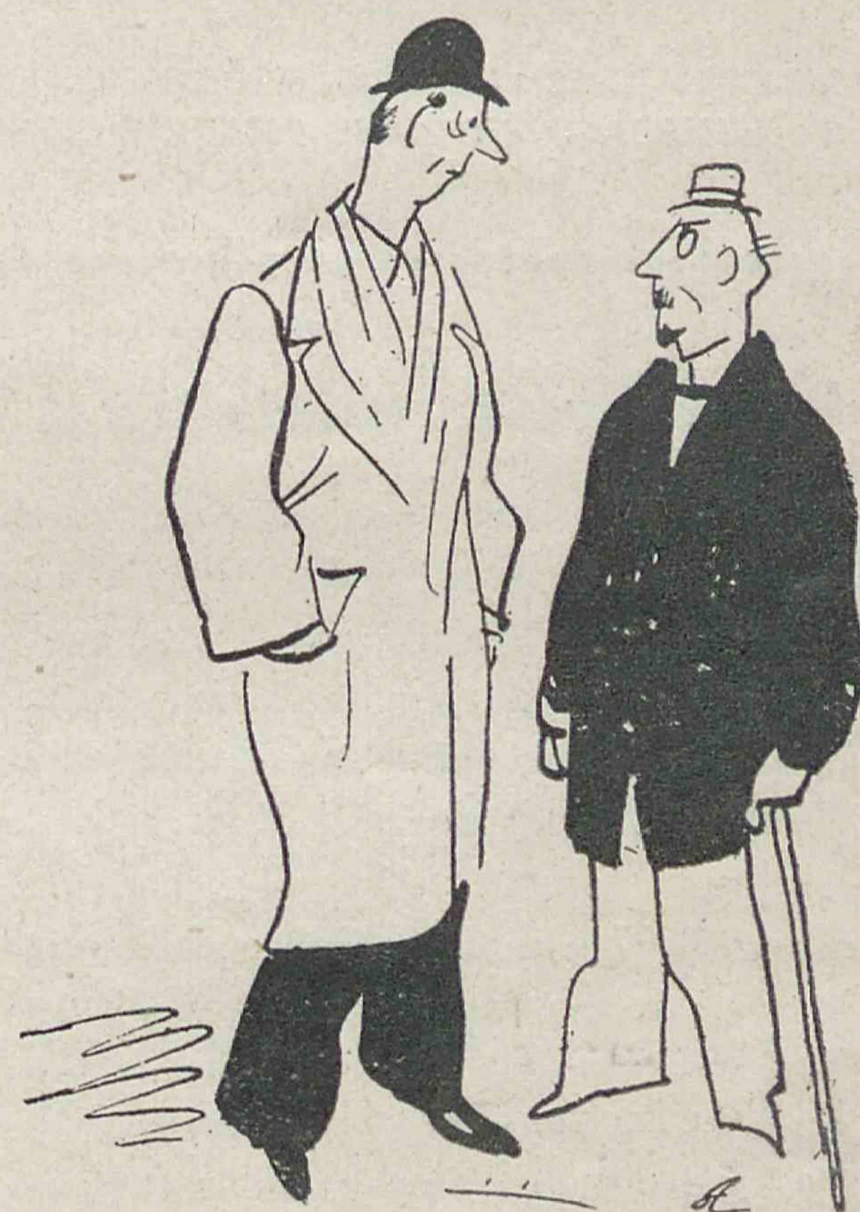
Ponadto nagrody pocieszenia otrzymali pp.:

1. Zygmunt Danielewski (Warszawa, Hipoteczna 5) za hasło „Dentosan codziennie — zdrowe zęby całe życie".
2. Wacław Rubinstein (Warszawa, Pańska 64) za rysunek.
3. Stanisław Feliks (Warszawa, Wilcza 5) za hasło „Dentosan na każdej umywalni".
4. Antoni Lilpop (Warszawa, Nowowiejska 27) za hasło „Dentosan rano i wieczorem".
5. Ludmiła i Bożenna Janiakówny (Września), za hasło „Dentosan koszt mały pożytek wielki".
6. Hanna Skalska (Warszawa, Wspólna 49) za hasło „Ząb czasu nie tknie zęba, gdy go czyści Dentosan".
7. Marja Sicińska (Warszawa, Fałata 2) za hasło „Dentosan na Polskę słynie w proszku, w mydełku i w płynie".
8. Tadeusz Sęp (Warszawa, Hoża 14) za wiersz.
9. Halina Remberk (Warszawa, Koszykowa 51) za hasło „Dentosan nie zbytek, zdrowie pożytek".
10. Barbara Ludoborowska (Warszawa, Złota 74) za hasło „Ci co palą, Dentosan chwalą".
11. Andrzej Żeromski (Warszawa, Marszałkowska 53-a) za hasło „Dentosan zawsze wśród past przoduje, bo zębów nigdy nie psuje".

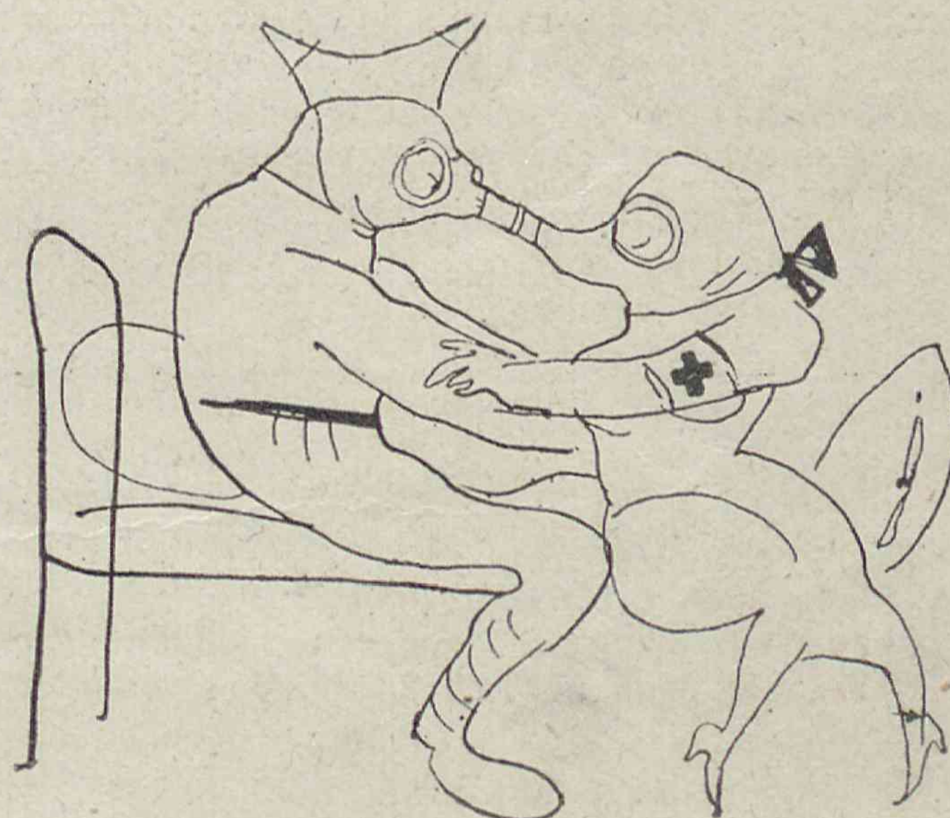
Ponieważ wśród nagrodzonych i wyróżnionych projektów, było kilka o jednobrzmiącem, lub bardzo podobnem brzmieniu, nadesłanych przez różne osoby, jury uwzględniło najwcześniej nadesłane.

Osobom zamiejscowym nagrody zostały wysłane przez pocztę, osoby zamieszkałe w Warszawie, proszone są o odbiór nagród w sklepie „Ludwik Spiess i Syn" przy p. Teatralnym.

Wszystkie nagrodzone i wyróżnione hasła stają się własnością firm „Antiba" oraz „L. Spiess i Syn".

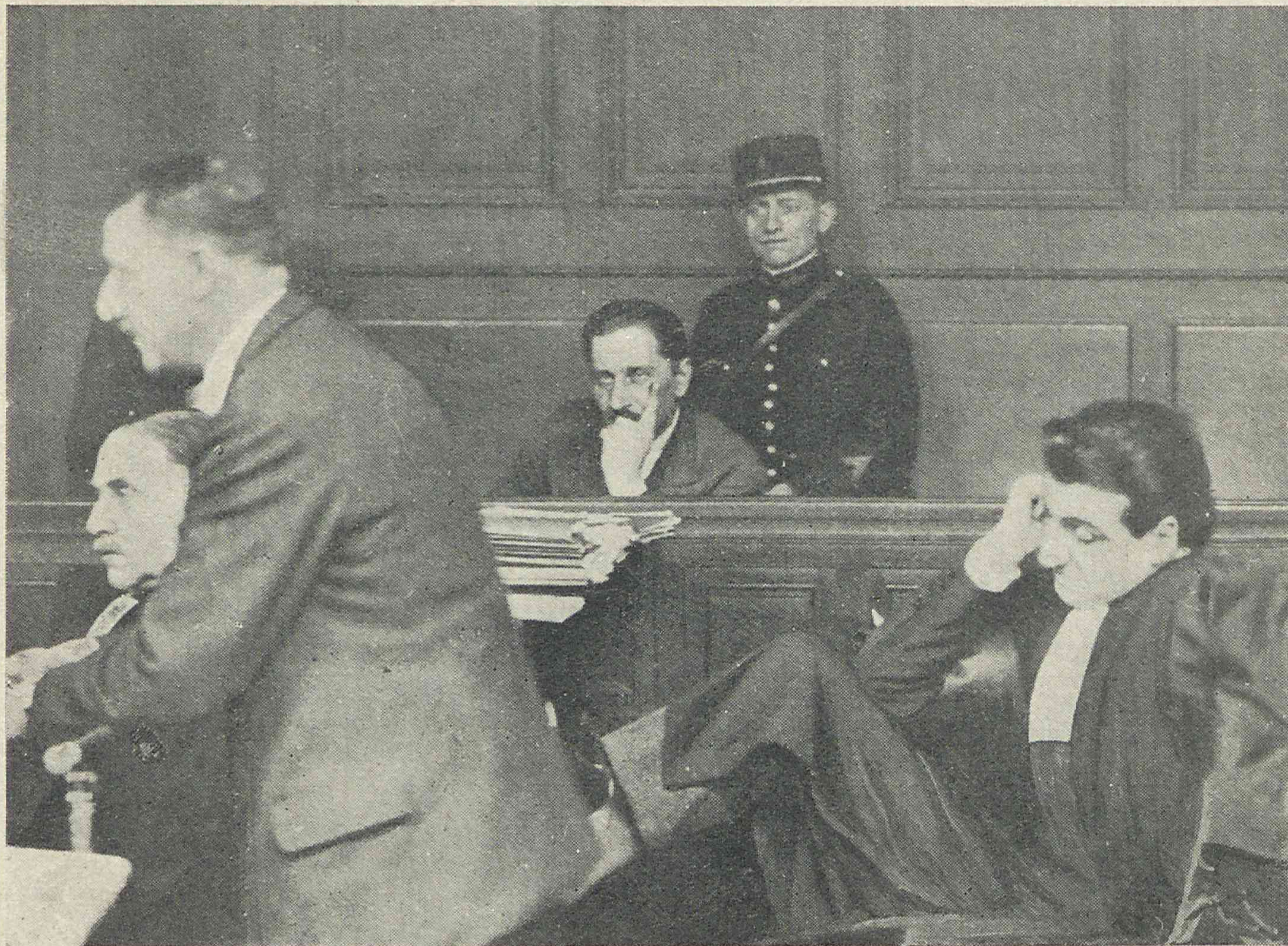


— Gdy cię spotkam, zawsze myślę o Teodorze.
— Przecież ja wcale nie jestem do niego podobny!
— Ale on także jest mi winien sto złotych.



Flirt podczas przyszłej wojny.

PROCES ALCHEMIKA XX WIEKU



DUNIKOWSKI PRZED SĄDEM W PARYŻU. SKAZANO GO ZA OSZUSTWO NA 2 LATA WIĘZIENIA I WYPŁATĘ ZNACZNYCH SUM PIENIĘŻNYCH POSZKODOWANYM

Z dziedziny kosmetyki

P. Annie W.: Najprędzej i najlepiej usunie pani włosy z pod pach i na nogach *Epil-Maxem.* Jest to najlepszy ze wszystkich znanych depilatoir'ów. Nie drażni skóry i nie wywołuje zaczerwienienia. Sposób użycia *Epil-Maxu,* jest przy każdym słoiku.

Halinie B.: Idealne gładkie ręce i biust będzie pani miała, stosując *Krem Prałatów.* Po wymyciu szyi, biustu i rąk w ciepłej wodzie *Otrąbkami Abaridowemi,* wetrzeć troszkę *Kremu prałatów,* a już po 1—2-ch użyciach skóra będzie idealnie gładką. *Krem prałatów* można użyć bezpośrednio przed balem, gdyż wciera się do sucha. Po wtarciu w skórę, lekko przypudrować *pudrem Abarid,* który na skórze natartej kremem doskonale będzie się trzymał przez całą noc.

Chcąc pod koniec zabawy zachować świeżą i niezmęczoną cerę, należy wytrzeć ją watą zmoczoną *w płynie wschodnim Mimoza* i przypudrować *pudrem Abarid.*

Ciekawej: Chcąc zachować świeżą, młodą cerę, radzę myć twarz na noc w dobrze ciepłej wodzie *Otrąbkami Abarid* i po wytarciu wetrzeć cokolwiek *kremu Abaridowego,* oraz przypudrować tymże pudrem. Ponieważ *krem Abarid,* przygotowany jest na miodzie i wyciągu *z lilji białej,* więc doskonale odżywia tkankę, nie pozwalając jej się starzeć. Artystki, które doskonale wyglądają i mają zawsze świeżą cerę, stosują przeważnie wyroby *Abaridowe.*

Pp. Zosi i Kazi: Łupież rzeczywiście jest rzeczą przykrą, a tak łatwo go usunąć stosując *płyn Tetral.* Już po 2-ch—3-ch natarciach skóry łupież ginie zupełnie i włosy przestają wychodzić. Z Schampoonów, polecam Schampoon Szachrazada, jako zupełnie nieszkodliwy. Rozjaśni pani włosy na śliczny złoto-blond kolor, *płynem Hella,* który nie niszczy włosów.

Bladej: Usteczka najlepiej robić *Roseiną ciemną,* która nie ściera się w ciągu kilku godzin i nadaje ustom naturalny kolor.

Brwi trwale przyciemni pani *Exelsiorem do brwi,* który się nie zmywa.

M-m Ercedes.



— Ja chcę wyjść za mąż tylko z miłości.

— Masz rację. Tacy, co mają pieniądze, wogóle nie chcą się żenić.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

№ 84 (187) ELIMINATKA
ułożyła Dorota Herbstmanówna

(Za rozwiązanie 5 punktów).

1
2
3
4
5
6
7
8
9
10
11
12
13

W daną figurę należy wpisać 13 wyrazów poziomych o podanem znaczeniu, poczem skreślić w nich te litery, które wchodzą w skład wyrazu (klucza do eliminatki), mającego znaczenie ozdób ubrania kobiecego. Pozostałe litery, czytane w kolejnym porządku poziomo, dadzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów: 1. Nieprzerwany. 2. Miasto w Egipcie górnym, na lewym brzegu Nilu, gdzie są ruiny świątyni Horusa i zwaliska świątyni bogini Hathor. 3. Przekopy. 4. Foremna bryła geometryczna. 5. Dozorczyni dzieci. 6. Próżniaki. 7. Siebie. 8. Staniki kobiece. 9. Bankiet, uczta, biesiada. 10. Cnotliwy, rzetelny, sumienny. 11. Ptak nowoholenderski z rodziny strusiowatych. 12. Najpoczytniejszy tygodnik warszawski. 13. Rzeka w Rosji.

№ 85 (188) WYSUWANKA
ułożyła * * *

(Za rozwiązanie 5 punktów).

1	2	3	4	5	6	7	8	9
D	N	N	C	A	I	R	B	E
B	Y	N	Y	Z	A	Z	Z	Y
I	E	W	O	H	J	H	B	E
O	T	C	Z	Ł	Y	T	O	Ę
I	E	Y	N	C	C	N	A	Ć
Z	Y	B	N	E	Y	N	A	N
S	T	B	A	I	I	Ę	E	P
N	I	R	E	I	B	E	D	P

Z danej figury powysuwać do góry ośmioliterowe kolumny pionowe w ten sposób, aby w kierunku poziomym można było odczytać rozwiązanie.

Rozwiązanie zadań

№ 70 (173) LOGOGRYF: Don Carlos, Baltazar, Ruleta, Sto dni, Cichy wspólnik, Fortepian, Bank Nemo, Drugie imię miłości, Historja dwóch serc, Adwokat w Opałach, Młodość szumi, Fannv, R. H. Inżynier — Car Iwan Groźny.

№ 71 (174) CZY UMIEMY DODAWAĆ?

888
88
8
8
8
———
1000.

№ 72 (175) KRZYŻÓWKA: *Poziome.* Kicze (wspak). Luzak. Kryza (wspak) kot. ATE. Kat. Aras. Sago. Czytaj Świat. Zero. Hawe. Ełk. Ewa. Mak (wspak) Krisz. Agawa. Wotan.

Pionowe. Kaczę. Orzeł. Ta. Kry (wspak). Ela. Sto. Kaw. Zuza. Ergo. Czytaj Świat. Jare. Asta. K. K. K. S. W. H. Zan. Kajak. Agawa. Totem.

Trafne rozwiązania nadesłali:

№ 70. (Za rozwiązanie 3 punkty): Jadwiga Kwiekowa, Jerzy Łopatto, H. Goldflam, D. Rozental (Łódź), Marja Iwańczykowa, Józefa Wolińska, Halina Urbańska (Lwów), Janina Wróblewska, Z. Tietz, Jawna Kowalska, Kazimierz Wiśniewski, Dorota Herbstmanówna, Dorota Słowikowska, Wacław Przyprawski, Teodor Kretkowski, R. Hochermanówna, Wacław Tyblewski (Poznań), Marja Bugajska.

№ 71. (Za rozwiązanie 2 punkty): Łucja Przechadzka (Piotrków), R. Klimczak, Tolek z Królewszczyzny, M. Sławnicki, Halina Markówna, Jadwiga Kwiekowa (Dobrzelin), Jerzy Łopatto, H. Goldflam, D. Rozental (Łódź), J. Modrzejewski (Lublin), Halina Urbańska (Lwów), Kazimierz Wiśniewski, Dorota Herbstmanówna, Jan Krudysz (Cieszyn), Jadwiga Nowosielska (Gdynia), Wacław Przyprawski, Teodor Kretkowski, R. Hermanówna, Czesław Buza (Smukała), Wacław Tyblewski (Poznań), Edward Byszewski, Wacław Solka (Lubaczów), Kazimierz Kozłowski.

№ 72. (Za rozwiązanie 5 punktów): Dorota Herbstmanówna, Kazimierz Wiśniewski. Jawna Kowalska, J. Modrzejewski (Lublin), Józefa Wolińska, Lucja Przechadzka (Piotrków).

NAGRODY, po jednej książce, otrzymali:
Halina Urbańska (Lwów).
Marja Bugajska (Warszawa).
Łucja Przechadzka (Piotrków).
Kazimierz Wiśniewski (Warszawa).
Jawna Kowalska (Warszawa).

Brydż

Który z partnerów ma pierwszeństwo

Przykład z aktualnej rozgrywki. Karty rozłożyły się tak:

X:
♠ A K D x x x x
♥ x
♦ x
♣ A D x x

A:
♠ x x
♥ x x x x
♦ A D 10 x x
♣ x x x

B:
♠ W 10 x
♥ x x
♦ W x x x
♣ K W x

Z:
♠ x
♥ A K D W 10 x
♦ K x x
♣ 10 x x

Z. mając wielką koronkę bez boków, zapowiada 1 kier. A. pasuje; X. woła odrazu 5 pików. B. pasuje. Z. zapowiada szlemika w kiery. Partner odbiera mu grę, przelicytowując szlemikiem w piki.

X. od początku licytował niewłaściwie. Mógł pokazać, że ma mocne piki, wołając poprostu 2. Wtedy dałby możność Z.'owi pokazania, czy się zgadza na piki, czy też upiera się przy swoim kolorze. Z. byłby zapowiedział 4 kiery. X. znowu 5 pików, Z. — 6 kierów i tu obowiązkiem X. byłoby spasować. A tak zepsuł wielką grę, bo przy zagraniu przez B. małego kier leżeli bez jednej i stracili zapis półtora tysiąca za koronę, szlemik i przegraną lewą.

Wyłania się przy tej grze zagadnienie pierwszeństwa w wypadku, gdy obaj partnerzy mają mocny kolor. Gracz, który na odzywkę swego partnera chce pokazać, że uważa swój kolor za lepszy, powinien przeskoczyć odzywkę partnera o jedną lewę. Licytacja idzie wtedy dalej i, jeżeli pierwszy zapowiadający upiera się przy swoim kolorze, należy mu grę pozostawić

ŚWIAT W ROKU 1933

(28-y rok istnienia)

pod naczelnem kierownictwem STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO
Warszawa, Szpitalna 12, tel. 504-00, rach. P. K. O. 3.755

Po dokonanej 30% obniżce ceny „ŚWIAT" pozostaje jednem z najtańszych czasopism polskich i będzie w dalszym ciągu szedł drogą ulepszeń i przeobrażeń celem osiągnięcia możliwie najdoskonalszego typu nowoczesnego tygodnika społecznego, literackiego i artystycznego

Co tydzień najmniej 28 stron tekstu i ilustracji.

Co miesiąc – tom interesującej powieści.

W każdym zeszycie – kupon do Warsz. Teatrów Miejskich z 50% zniżki.

W „ŚWIECIE" Czytelnik znajdzie oświetlenie i objektywne omówienie wszystkich ważniejszych spraw i wydarzeń.

W „ŚWIECIE" znajdzie obfitą a skondensowaną lekturę: artykuły i feljetony najświetniejszych piór, opisy podróżnicze, nowele, ankiety, konkursy i t. p.

W „ŚWIECIE" znajdzie niewyczerpany zasób informacji i wiadomości, interesujących dla każdego kulturalnego umysłu.

W „ŚWIECIE" znajdzie bogaty, aktualny dział ilustracyjny.

Prenumerata miesięczna wynosi obecnie tylko Zł. 5.–
(z odnoszeniem do domu Zł. 5.50, na prowincji Zł. 6.–).

Nowoprzybywający Prenumeratorzy od Nowego Roku, wpłacający prenumeratę za kwartał z góry, mogą otrzymać numery „ŚWIATA" z grudnia 1932 r. bezpłatnie.

„ŚWIAT" WINIEN STALE ZNAJDOWAĆ SIĘ W KAŻDYM KULTURALNYM DOMU.

Redaktor *St. Krzywoszewski.* Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o Druk. Galewski i Dau, Warszawa.



P